

# KRONIKA

## RODZINNA

Nr 5.

Warszawa, dnia 17 Lutego (1 Marca) 1873 r.

Serya II.

### Warunki prenumeraty.

W Warszawie: w Biórze Redakcyi, z odnośnieniem do domu, rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1.

Prenumerować także można po tej samej cenie we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism peryodycznych.

W Cesarstwie i Królestwie: rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kop. 50. Pieniądze nadsyłać należy wprost do Redakcyi.

Kronika Rodzinna wychodzi d. 1 i 15 każdego miesiąca.  
Cena pojedynczego Numeru kop. 20.

Biuro Redakcyi  
przy ulicy Marszałkowskiej, Nr. 75.

W Cesarstwie Austriackim—w Lwowie w Księgarni Gubrynowicza i Schmidta po cenie: Kwartalnie na miejscu fl. 1 cen. 80. Kwartalnie z przesyłką pocztową fl. 2 cen. 15.

W Krakowie w Księgarni Friedleina: Kwartalnie w miejscu fl. 1 cen. 65. Kwartalnie z przesyłką pocztową fl. 2.

W W. księstwie Poznańskim—w Poznaniu w Księgarni Daszkiewicza po cenie: Kwartalnie w miejscu tal. 1. Kwartalnie z przesyłką pocztową tal. 1 gr. 6.

**TREŚĆ.** Od Redakcyi.—Wyzwolona niewiasta, przez A. Pługa.—Do Ideału, przez R.—Korespondencje: z Petersburga, ze Lwowa, z Prowincyi.—Szkice z Włoch, przez A. O...o.—Podróż po Afryce, przez Dr. I. Stella-Sawickiego. II. (c. d.)—Teatr, przez L...a.—Kartki z dziennika nauczyciela domowego, podał Wł. N...i.—Sztuka biegania na łyżwach, przez Stanisława Pielesz. (Dokończenie.)—Angela, powieść, przez Konrada von Bolanden (c. d.)—Kronika ruchu naukowego. (Dalszy ciąg).—Wiadomości bibliograficzne o Koperniku.—Od Redakcyi.

## Od Redakcyi.

Jako pismo dwutygodniowe, Kronika nie była w możności w pierwszej chwili zdać sprawy czytelnikom swoim z uroczystości, spowodowanych 400 letnią rocznicą przyjęcia na świat w Toruniu słynnego rodaka naszego Kopernika.

W osobie jego kościół oddał w dniu 19 Lutego r. b. hołd pamięci przykładnego sługi ołtarza, świat uczony wszech krajów uczcił w ziomku naszym genialnego swojego mistrza, społeczeństwo pełnego cnót człowieka, ogół ludu brata swojego, którego wiara, wiedza i cnota społem, a nie przodków zasługi, wyniosły na światne stanowisko, jakie zajął w ludzkości całej.

Zbytecznym byłoby powtarzać w tem miejscu szczegóły, którei wszystkie pisma codzienne i tygodniowe hojnie obdarzyły publiczność tutejszą. W zamian uprzedzamy czytelników naszych, iż otrzymaliśmy poemat dramatyczny pod tytułem „Kopernik“ Józefa Szujskiego, odegrany po raz pierwszy w Krakowie, w dniu obchodu 400 letniej rocznicy urodzin wielkiego astronoma, który to poemat w następnych numerach Kroniki będzie umieszczonym.

## WYZWOLONA NIEWIASTA.

O matko moja! o błogosławiona!  
O moja święta na ziemi i w Niebie!  
Smutny, znekany i zwątpienia bliski,  
Z toni żywota, jak niegdyś z kołyski,  
Z płaczem do ciebie wyciągam ramiona,  
Ze skargą rzewną garnę się do ciebie.

Zstąp duchu jasny na burzliwe fale,  
Zażegnaj gromy i srogie orkany,  
Błysz mi złotą zorzą śród zamrocy,  
Osusz z łez gorzkich zapłakane oczy,  
Utaj me troski serdeczne i żale,  
I powróć duszy spokój pożądany! ...

Dzięki ci, dzięki, stróżu mój aniele!  
Owo cię czuję, widzę już przy sobie,  
Widzę twe drogie miłościwe lice,  
I łzą litości promienne źrenice,—  
Widzę i na twarz u stóp się twych ściele,  
I błogosławię cię w mojej żalobie.

O błogosławię całą duszy mocą  
Za to, że mogę cię oglądać ninie  
W niewieściej enoty dostojestwie całym,  
Gdy świat, półmędrków owładnięty szalem,  
Gdy sercu na nim tak cudzo, sieroco,  
I brak rodzinnej harmonii w rodzinie!

Bo dziś niewiasta w męża się przeradza,  
Bo nie dość mając tego majestatu,  
W jakim stanęła przez Boga-Człowieka,  
Samo chcąc swoich świętych praw się rzeka;  
Wstrętną cudowna dla niej serca władza,  
Rozumem tylko chce panować światu.

Chcę wyzwolenia... z czegoż? Boże Wielki!  
Gdzież owa przemoc, która cięży na niej?  
Cześć-że jej cięży, jaką otoczona?  
Ciężyż ta cudna, gwiazdzista korona  
Siostry, kochanki, żony, rodzicielki,  
A więc, przez miłość, królowej i Pani?

To przesąd!—woła,—przedwieczna ciemnota!  
To poniżenie pod osłoną części!  
Owo kapłaństwo w rodzinnej świątyni,  
To los kucharki, niańki, niewolnicy;—  
Nie w tem zasługa, i chwała, i cnota,  
Inny wznioślejszy cel życia niewieści.

Prez gineceal prez haremy wschodnie!  
Rodzinne zwane, prez zakłete koło!  
W świat! w świat! mężczyźnie ona sprosta wszędzie,  
Czy przy warsztacie, czy to na urzędzie,  
Czy na katedrze zdoła zasiąść godnie,  
W doktorski biret swe ustroi czoło.

O matko moja! o niewiasto święta,  
Pokorna, cicha, potulna jak dziecię,  
A tak dostojna wielką serca siłą!  
O wyzwoleniu tobie się nie śniło,  
A przecież w żadne nie dzwoniłaś pęta,  
I rajem było ci rodzinne życie.  
O! tyś po nowe nie sięgała prawa,  
Ani dróg życia nie szukała innych,  
Czując, że z twojem prawem, z twoją drogą,  
Żadne już w świecie zrównać się nie mogą,  
I że największa dla niewiasty chwała  
I pole zasług—w progach jej rodzinnych.  
Tyś wszystko miała pod strzechą domową,  
Wszystkie zawody, o których odjęcie  
Biedny ród mężki dziś niewiasty winią:  
Tyś rzemieślniczką była, ty mistrzynią,  
Sędzią, lekarką, kapłanką, królową,  
Bóstwem uczczonem, uwielbionem święcie.  
Jak rzemieślniczki dłoń twa gospodarna  
Wciąż dla swej miłej pracowała dziatwy  
I odziewała ubogie sierotki;  
Jak głos mistrzyni ciągle głos twój słodki  
Tak skrzętnie pierwsze siał w nas wiedzy ziarna,  
Że i plon później sam już przyszedł łatwy.  
Jako najwyższy sędzia w trybunale,  
Tyś sprawowała sądy wśród rodziny,  
A twe wyroki dzieciom prawem były,  
I sądem Bożym grozą z twej mogiły;  
Więc dziś o sądy świata nie dbam wcale,  
Gdy przed twym sądem czuję się bez winy.  
Tyś znała leki na wszelkie boleści,  
Jak lekarz jakiś cudowny czarodziej.  
Czy niemoc ciała, czy co duszę nęka,  
Dość niech twa czuła ukochana ręka,  
Dość niech twe słówko serdeczne popieści,  
A ból najcięższy wnet się ulagodzi.  
Jako kapłanki, twe natchnione słowo,  
Proste, a szczytne w swej wielkiej prostocie,  
Dało nam Boga ukochać i bliźnie  
I o Niebieskiej uczyło Ojczyźnie,  
I wlało w duszę wiarę Chrystusową,  
I miłość wlało ku prawdziwej i cnocie.  
Dawno, o dawno minęły te chwile  
Gdym u twych kolan klękał do pacierzy!  
A przecież dotąd one mi przytomne:  
Rano i w wieczór co dnia je przypomnę,  
Ileż czoło do modlitwy schyłę  
I dusza w skrzydła ku niebu uderzy.  
A choćem z tego, co mi księgi dały  
I mądre mistrze, stracił bardzo wiele  
W trudnych zapasach z fałszem tego świata;

Dusza jednakże silna i bogata,  
Bo z ciebie wzięła skarb mądrości trwały,  
Matko, kapłanko w rodziny kościele!  
Więc, gdy przez ciebie wszyscy wszystko zgoła  
Mieli dla ducha i ciała gotowe,  
Toż i nie dziwy, że w rodzinnem gronie  
Tyś wywyższona stała, jak na tronie,  
I że z miłością dzieci chylać czoła,  
W matce swej znały Panią i Królowę.

Więc kiedy prawdę, kiedy cnotę wszelką  
Wiare, Nadzieję i Miłość przez ciebie  
Dzieci poznały i umiływały  
W zaraniu życia na wiek życia cały:  
Nie dziw, żeś była, droga rodzicielko,  
Obrazem bóstwa w swej rodzinie niebie!

A byłaś pełna cześci wielkiej i sławy  
I w szerszem kole, choć zamknięta doma,  
Chociaż z mistrzami nie biegła w zawody  
Szczytnymi pęzła albo pióra płady,  
Ani dla żadnej na świecie wstawy  
Nie pracowała swojemi rękoma.

Lecz twoja dziatwa, co różnemi szlaki  
Wybiedz musiała w świat szeroki boży,  
Niosła na sobie twoje rękodziela,  
I niosła w duszy to, co z ciebie wzięła,  
I niosła w licach księggę, obraz taki,  
Jakich ni pióro, ni pęzel nie stworzy.

I dziś, choć dawnom w sieroctwie po tobie,  
Sława twej ręki i twej myśli żywa:  
Najkunsztowniejszy utwór nie dostoi  
W obec najlichszej pracy igły twojej;  
A w najjaśniejszej mego ducha dobie  
Świecę tym blaskiem co z twojego spływa.

Bo wszystko z ciebie, czem się duch bogaci,  
I czem pocziwie służyć światu mogą:  
Przez ciebie godnie serce skarb swój mięści,  
Bo w tobie jego ideał niewieści;  
Przez ciebie umiem zyskać miłość braci,  
Przez ciebie zacząć znam do chwały drogę.

Więc błogosławię całą duszą mocą

Ciebie o matko moja uwielbiona,

Bo mi otucha z twem wspomnieniem łatwa:

Bo choć się dziwnie dziś na świecie gmatwa,

Choć sercu na nim tak cudzo, sieroco,

Ufam, że życie rodzinne nie skona;

Boś nie samotna w swej niebieskiej chwale,  
I nie mnie tylko świeci do wspomnienie,  
I nie brak tobie podobnych na ziemi.

A że Bóg przy nich, to i tryumf z niemi:  
Świat się wytrzeźwi po chwilowym szale,  
Uzna niewiasty szczytne przeznaczenie,  
Uzna i uczei jej cnoty domowe,  
Uczei w rodzinie Panią i Królowę.

Adam Pług.

## DO IDEAŁU. <sup>1)</sup>

Nie będziesz jeszcze piękna Idealem,  
Choć w tańczących kole rozszalałem,  
Strojna w błyskotki — jak kwiat rosy łzami  
Czarujesz wdziękiem, zachwycasz ruchami.

Lecz kiedy tęskna z pochylonem czołem,  
Do stóp ołtarza z błaganiem się rzucisz;  
Gdy piękna główkę obsypiesz popiołem,  
Wierząc: żeś z prochu i w proch się obrócisz;  
Gdy techniesz skromnością i świętym zapałem —  
Wtedy niewieścim jesteś Idealem!

R....

## KORRESPONDENCJE.

Petersburg, d. 30 stycznia (11 lutego) 1873 r.

### I.

Ważniejsze wypadki z roku 1872: Szkoła dla felererek — Odczyty ludowe — Towarzystwo miłośników religijnej oświaty — Osmi zjazd międzynarodowego statystycznego kongresu. — Koncerta — Ospa i cholera.

Dzisiejszy list poświęcam wyliczeniu bardziej uwydatniających się wypadków z życia tutej-

<sup>1)</sup> Przyniesiony nam wierszyk, będący alluzją do wiersza Zygmunta Krasińskiego „do Kobiety” umieszczonego w Nr. 1-ym naszego pisma — podajemy czytelnikom jako odpowiedni chwili.

szej stolicy za rok 1872. Zaczynam od ruchu umysłowego.

Kilka miesięcy temu, Towarzystwo Opieki nad chorymi i rannymi żołnierzami, założyło w Petersburgu szkołę dla kształcenia felererek, do której wstąpiło 20 młodych uczennic różnego stanu i narodowości; dziesięć z nich pozostają na całkowitem utrzymaniu Towarzystwa, inne zaś są przychodzące. W szkole tej wykładają się następujące przedmioty: nauka religii; języki: rosyjski i łaciński; arytmetyka, anatomija, chirurgija, patologija, terapijka ogólna, farmacja; oraz nauki: o przyrządzaniu lekarstw, o pielęgnowaniu chorych i rannych. Oprócz tego uczennice poświęcają część czasu na zajęcia praktyczne w aptece i szpitalu. W grudniu, t. j. po upływie czterech miesięcy od dnia otwarcia szkoły, odbyły się w niej prywatne egzamina, na których uczennice okazały nie tylko teoretyczną, ale i praktyczną znajomość wykładanych przedmiotów, naturalnie w granicach stosownych do tak małego przeciągu czasu.

Urządzone jeszcze w grudniu 1871 r. w muzeum nauk zastosowanych, publiczne popularne dla ludu odczyty z historii świętej i politycznej, z nauk przyrodzonych, higieny i innych przedmiotów wiedzy, mają tu wielkie powodzenie. W ciągu roku 1872 odbyło się 128 odczytów, które ściągnęły do siebie około 35,000 słuchaczy, opłacających prawo wejścia po 5 k. od osoby; w tej liczbie było nie mniej 85% słuchaczy z gminu. Od niejakiego czasu podobne prelekcje urozmaicane muzyką i śpiewami, zaczęto urządzać i w kilku innych punktach miasta; we wspomnianym zaś muzeum urządzone oprócz tego lekcje gry na skrzypcach i śpiewów chórowych.

W jednym z poprzedzających listów <sup>1)</sup> donosiłem o projekcie założenia w Petersburgu Towarzystwa miłośników religijnej oświaty. Otóż w roku przeszłym projekt ten przyszedł do skutku. Towarzystwo, założone z zezwolenia Rządu, wytknęło sobie następujące cele: 1) Przyczynić się do utworzenia ściślejszych stosunków między duchowieństwem i ludźmi stanu świeckiego, oraz do wzajemnej wymiany myśli w zadaniach dotyczących prawosławnej religii. 2) Pracować nad rozpowszechnieniem zdrowych pojęć o zasadach, historycznych przejściach i tegoczesnych potrzebach tejże religii. 3) Podtrzymywać stosunki z ludźmi pracującymi za granicą w sprawie religii, i przyczynić się do obeznania z nią ludności krajów europejskich. Podobne Towarzystwo, od lat już dziesięciu istnieje w Moskwie, petersburskie więc uważa się jakby za oddział Towarzystwa moskiewskiego.

Odbyty w Petersburgu, w roku zeszłym, ósmy zjazd międzynarodowego statystycznego kongresu, bez wątpienia zaliczyć należy do najwydatniejszych wypadków z umysłowego życia tutejszej stolicy; przy zanotowaniu więc tego faktu niech wolno mi będzie powiedzieć słów kilka o kongresie statystycznym w ogólności.

Dwadzieścia lat temu, jak niektórzy statystycy różnych krajów Europy, według myśli znakomitego belgijskiego statystyka p. Kettle (Quetelet), postanowili utworzyć międzynarodowy statystyczny kongres. Projekt ten, przy niezamordowanych usiłowaniach tegoż Kettle, niebawem przyszedł do skutku. Pierwszy zjazd kongresu odbył się w roku 1853 w Brukselli, drugi — w roku 1855 w Paryżu, trzeci — w roku 1857 w Wiedniu, czwarty — w roku 1860 w Londynie, piąty — w roku 1863 w Berlinie, szósty — w roku 1867 we Florencji, siódmy — w r. 1869 w Hadze. — Udoskonalenie teorii statystyki, rozwiązanie ogólnych zadań do tej nauki się ściągnających, szczególnie zaś ustanowienie jednolitych, we wszystkich krajach zasad i form dla statystycznych czynności, a przez to umożliwienie zbierania dokładnych materiałów do

statystyki międzynarodowej porównawczej — oto są główne cele statystycznego kongresu. — Ósmy zjazd odbył się, jak już powiedziano wyżej, w Petersburgu, i trwał od 10 do 18 sierpnia 1872 roku. Dwadzieścia dwa państwa przysłały urzędowych delegatów, oprócz których zjechało się jeszcze z różnych stron całego świata wiele interesujących się statystyką osób prywatnych: byli tu przedstawiciele Brazylii, Japonii, Egiptu i innych oddalonych krajów; w ogóle 114 cudzoziemców przyjęło udział w posiedzeniach petersburskiego zjazdu, a w liczbie ich znajdowali się znakomici uczeni: Kettle, Fikier, Engel, Lewassor, Farr, Fon-Buzen, Baumgauer i inni. Rosyan zapisanych na członków kongresu liczyło się więcej 500, lecz za ledwie połowa ich przyjęła rzeczywisty w kongresie udział. Wszystkie rozprawy odbywały się w języku francuzkim, mowy zaś wygłaszane były po francuzku, angielsku, a niekiedy i po rusku. Zadania roztrząsane na petersburskim zjeździe kongresu dotyczyły: udoskonalenia spisów ludności, zarejestrowania danych o fizycznym rozwoju człowieka, statystyki cholery, statystyki handlowej, przemysłowej, pocztowej, kryminalnej i t. d. Pomijając wyszczególnienie wszystkich rozpraw w zadaniach, oczekujących jeszcze rozwiązania na przyszłość, powiem tylko, że zjazd petersburski uchwalił i ostatecznie zatwierdził postanowienie wielkiej wagi, o urządzeniu stałej komisyi międzynarodowego statystycznego kongresu, która będąc złożona z naczelników statystycznych biur i urzędowych delegatów różnych państw, ma następujące obowiązki: 1) zastosowywać do praktyki wszystkie postanowienia kongresu, 2) przygotowywać materiały do zajęć następnego zjazdu i 3) urzeczywistnić główny cel kongresu względem utworzenia porównawczej międzynarodowej statystyki.

Od nauk zwracam się do sztuk pięknych. — Powiem słów parę o koncertach dawanych w Petersburgu w ciągu roku 1872. Z przyjezdnych artystów nikt nie wzbudził takiego zajęcia jak słynny skrzypek p. Joachim. Urodzony w r. 1831 w Węgrzech w okolicach Presburga, piastuje on obecnie godność dyrektora głównej szkoły muzycznej w Berlinie, i jest tak uwielbianym w całych prawie Niemczech, że miejscowe gazety wyniosły go na stopień pierwszego z tegoczesnych artystów w Europie. Zdaje się jednak, że gorliwość redaktorów gazet i ich korespondentów o wiele przewyższył stopień uwielbienia mieszkańców Niemiec; tutejsza przynajmniej publiczność wszystkie gazetarskie zapawy uznała za zbyt przesadzone. Pan Joachim, bez zaprzeczenia, jest wysoko utalentowanym artystą, z rzadką dokładnością wykonywującym utwory klasyczne, ale w grze jego zanadto jest spokoju i za mało uczucia. Pod względem siły smyczka i donośności dźwięku, nie dorównywa on p. Laube'mu, w pokonywaniu zaś mechanicznych trudności, ustępuje pp. Apolinaremu Kątskiemu i Henrykowi Wieniawskiemu. Przeszły wprawdzie te czasy, kiedy w grze ceniły się błyskotki; jednak i dzisiaj, obok wielu niezbędnych dla gry pierwszorzędnej artysty warunków, wysokie udoskonalenie mechanicznej strony talentu wymaga się bezwarunkowo. Oprócz p. Joachima, dawali tu jeszcze w roku przeszłym koncerta na skrzypkach: pp. Henryk Wieniawski i Auer, na wiolonczeli — p. Dawydow, na flecie — p. Cziardi, na organach — p. Gławacz, na fortepianie — pp. Mikołaj Rubinsztein, Alfred Jael z żoną i panna Jesipowa; nadto odbyły się koncerty wokalne: p. Ewerardi'ego, p-ny Ławrowskiej, chórów Szeremietiewa i księcia Golicyna, wokalnoinstrumentalne towarzystw muzycznego, fisharmonijnego i koncertowego. Wyliczyłem te tylko koncerty, które się cieszyły większym powodzeniem, gdyż o wszystkich trudno byłoby zamieścić pobieżne nawet wspomnienie.

Na zakończenie listu pozostaje mi jeszcze powiedzieć, że ospa i cholera, w roku przeszłym,

<sup>1)</sup> Kronika Rodzinna z r. 1872.

86

nie szczędziła mieszkańców stolicy. Od 1 kwietnia do 31 grudnia, w samych tylko publicznych szpitalach i lazaretach, według urzędowego sprawozdania, było chorych na ospę 4,792, z których zmarło 1,619 osób płci obojej; po dołączeniu zaś tych, którzy się leczą w własnych mieszkaniach, wypada, według wycieńienia tutejszych gazet, że w roku 1872 wszystkich chorych w Petersburgu na ospę było nie mniej 8,000, a zmarłych — więcej 2,000 osób płci obojej. Epidemia ta trwa dotychczas. Cholera przez cały czas istnienia w roku przeszłym, t. j. od 11 czerwca do 27 września dotknęła 3,413 mieszkańców Petersburga, z których zmarło 1,663 osób płci obojej. O panowaniu cholery na prowincyi wiadomości sięgają roku poprzedzającego. W 52 guberniach państwa Rosyjskiego, zachorowało na cholere, w ciągu roku 1871, 208,530 osób, z których umarło 80,388 osób płci obojej, t. j. 38,5%. Wszystko to świadczy, że używane dotąd od cholery środki są zbyt niezadawalające.

Artur Dołiński.

Lwów, 20 Lutego 1873 r.

Opis uroczystości jubileuszowej w czterechsetletnią rocznicę urodzin Kopernika.

(§) Dzień wczorajszy może być śmiało zapisanym do najpiękniejszych w kronikach naszego miasta. Uczeliliśmy w nim, z całą czcią przynależną, dzień 400-letniego jubileuszu wielkopomnego Kopernika. Nie posiadamy pomników na naszych placach, ani zasobów finansowych, jakie wasze miasto posiada, zresztą i rząd wasz dopomagał wam: — my tego wszystkiego nie mamy. Skromny nasz program składał się z nabożeństw, odczytów i niezgorszego oświetlenia miasta.

Uroczystość zaczęliśmy powszechnie panującym zwyczajem u nas, od Pana Boga, zanosząc korne modły do tronu Jego o spokój duszy genialnego Mikołaja. Nabożeństwa odbywały się w dwóch kościołach — w katedrze i u Karmelitów. W kościele XX. Karmelitów ksiądz przeor Czerwiński, słynny nasz kaznodzieja, w słowach pełnych namaszczenia, w obec tysięcy rzemieślników i reprezentantów innych klas, podnosił znaczenie wiekopomnej sławy astronoma. Mowa ta nie tylko była popularną, lecz, przy wysokiej nauce mówcy, nosiła na sobie wszystkie cechy prawdziwego krasomówstwa. O godzinie 10 odbywało się drugie nabożeństwo w katedrze łacińskiej. Przy śpiewie na chórze, ks. arcybiskup Wierchlejski odprawił solenne nabożeństwo. Kościół był napełniony. Ciało autonomiczne z księciem marszałkiem na czele, urzędnicy wyżsi, grono profesorów i nauczycieli, oraz licznie zgromadzona młodzież szkolna, byli obecni temu nabożeństwu. Z katedry udano się o godzinie 11 do sali ratuszowej, gdzie rozpoczęło się posiedzenie, urządzone staraniem uniwersytetu i akademii technicznej.

Sala była przystrojona krzewami, w posród których wznosiło się białe popiersie Kopernika uwieńczone laurem, a z drugiej strony, na wzniesieniu, spoczywało pierwsze wydanie Kopernikowskie: „*De revolutionibus orbium coelestium*” a. 1543. Galerye przepelnione były damami. Rektor uniwersytetu, Dr. Antoni Małeki, zagaikł posiedzenie mową, która trwała przeszło półtorej godziny. W niej, w sposób bardzo szczegółowy i dokładny, opowiedział historję rodowodu i urodzenia, a następnie wychowania i czynności genialnego astronoma. W żywych barwach odmalował nam tę wielką postać, jako wzorowego kapłana, lekarza, uczonego i człowieka publicznego. W końcu wyraził poszanowanie dla narodu niemieckiego, którego pierwszorzędne powagi naukowe nie zaprzeczają polskiego pochodzenia Kopernika. Mowa jego jasna i treściwa, była prawdziwie akademicką, przy całej powadze i spokoju. Po nim wystąpił profesor techniki Zbrozek,

który w obszernej rozprawie skreślił ogólne dzieje astronomii — trzy systemata przed Kopernikiem, Kopernikowski i po-Kopernikowski, a następnie opowiedział o układzie słonecznym Kopernika ze stanowiska naukowego. Następnie odczytana została przez ucznia akademii oda łacińska na cześć Kopernika, napisana przez profesora filologii Wróbla. Obchód na ratuszu zakończonym został deklamacją ody Ludwika Osieńskiego do Kopernika, przez jednego z uczniów akademii technicznej.

Posiedzenie „stowarzyszenia lekarzy galicyjskich” odbyło się o godzinie 5 po południu w wielkiej sali ratuszowej. Liczna publiczność zajmowała galerye. Do zgromadzonych bardzo zwręcznie i umiejętnie przemówił Dr. E. Sawicki, dowodząc, że hipoteza w połączeniu z spostrzeżeniem jest prawdziwą dźwignią gienjuszów, czego mamy dowody na Koperniku. Następnie ku ogólnemu zadowoleniu stwierdził wymownemi słowami, że wszystko posuwa się ku lepszemu na ziemi.

Prócz tego, pomiędzy 3 a 5, miały miejsce odczyty popularne w szkółce S. Elżbiety o Koperniku i jego systemacie dla niższych warstw naszej ludności.

Pomimo, że dzień był dżdżysty, o zmroku rozpoczęła się iluminacya.

W teatrze odegrana była sztuka W. Szymanowskiego „Ostatnie chwile Kopernika,” nastąpiły później żywe obrazy i muzyka.

Z prowincyi d. 20 Stycznia 1873.

Wszyscy korespondenci do pism peryodycznych siłą się na podawanie jak najwięcej faktów, świadczyć mających o naszym postępie z dziedziny rolnictwa i przemysłu, lub też o artystycznym zamilowaniu.

Najczęściej, z powodu braku tych cechujących inne kraje objawów, powyższe usiłowania nie zaspakajają żądań czytelników, którzy wciąż o nowe fakta wołają. O stronę zaś duchową życia, Bóg wie, gdzie zepchnięta, mało kto spyta w wieku kolei i telegrafów. Cóż dziwnego? Duch nie daje wysokich procentów, ani dywidendy!

Co do mnie, dla którego te piękne rzeczy nie najwięcej mają powabu, pozostawiając innym wszelkie sprawozdania ekonomiczne i teatralne recenzje, pójdę mało uczęszczaną drożyną, którą puszczają się ludzie zwykle *niepraktycznymi* zwani. W wędrowce tej szukać będą objawów nie tego ducha, co w pieśniach poetów gdzieś pod gwiazdy wlatuje, lecz tego, co błysnie niekiedy w oku nawet najmniej ukształconego człowieka. Jeżeli jednak zamiast tak pocieszającego objawu, dojrzę jakie strony ujemne, wskaże je śmiało, nie żebym przybierał rolę Katona lub chciał dogodzić swej złośliwości, lecz w nadziei, że to wnikięcie w samych siebie, może choć maluczki przynieść pożytek.

Nie myślcie, abym, idąc śladem angielskich pisarzy, dał wam kosztowną literacką tkaninę, w której, obok najpiękniejszych kwiatów uczucia, lśniły brylanty prawdziwego dowcipu.

Choć cenę je bardzo, nie żądajcie *humoru*; sądzę, że już nam wszystkim sprzykrzyły się codzienne na tym polu turnieje tych błędnych literackich rycerzy, skrzywionych od ciągłego szyderstwa.

Wskazując błędy społeczne, nie dam wam krojem francuzkim świetnych paradoksów, ani też rzucić się będę na istniejący porządek i artykuły kodeksu; wreszcie daleki od systematyczności niemieckiej nie nakreślę planu zamierzonej pracy, ani też dam charakterystykę różnych sfer towarzyskich, lecz w formie swobodnej pogadanki udzielię wam kilka spostrzeżeń z naszego prowincjonalnego życia.

Przyszło mi na myśl pomówić o jednym z przymiotów cechujących wszystkie ludy słowiańskie, to jest o naszym usposobieniu towarzyskiem; wprzód jednak pozwólcie, że wam opowiem małe zdarzenie z pobytu mego w Brukselli. Było to w roku 1857. Stałem

w hotelu de Bretagne, na placu królewskim wśród którego Godfryd de Bouillon, ten ideał chrześcijańskiego rycerza, wznosi w górę sztandar krzyżowców, co mówiąc nawiasem, jakkolwiek wyraża uczucia najwyższych sfer narodu, tworzy jednak dziwny kontrast z materyalizmem większości Belgów.

Choć radbym, jak najmniej, mówić o sobie, wspomnieć muszę, że posiadam cechujący nas za granicą pociąg do ziomeków i drobnostkowi ciekawość, skłaniającą nas w kraju do rozmowy choćby z arendarzem. Zainstallowawszy się więc, wyszukałem właściciela hotelu i co prędzej spytałem, czy nie ma między gośćmi polaków? „Jest tu tylko pan A. i B., wczoraj zaś odjechali ztąd do Ostendy pp. Y. i Z.” była odpowiedź. Znam ich, rzekłem, tylko tego pana Ipsylona przypomnieć sobie nie mogę. „Wy panowie Polacy jesteście najosobliwszym ludem na świecie! Wykrzyknął gospodarz; u nas ludzie po lat 20 mieszcząc pod jednym dachem nie wiedzą nazwisk sąsiadów; wasz kraj jest obszernym, a jednak znacie się wszyscy. Que c'est beau!” Byłem uszczęśliwiony z tej pochwały; nie dziwnego, nie wdawałem się jeszcze w subtelne ważenie wyrazów; młody, brałem wszystko za dobrą monetę. Od tego czasu ubiegły lata, unosząc z sobą złudzenia, a dziś przypomniałszy sobie ową rozmowę, to powyższa pochwała grzecznego Belgijczyka jakoś mi na drwinki wygląda.

Tak, znamy się prawie wszyscy, a przynajmniej wiemy nawzajem o sobie i obszernie rozprawiamy o tem, co się dzieje w pałacach i dworach.

Przynaję, że tak rozległe towarzyskie wiadomości przyczyniają się do wytworzenia opinij, przydać się mogą w życiu i zabezpieczyć od strat i zawodów, jakie z nieznajomości ludzi wynikają. Czy jednak wiadomości, jakie u nas zwyczajnie krążą, są zawsze wierne, o tem wątpić sobie pozwolę.

Zwykle zwracamy uwagę na jakieś jaskrawsze objawy, nie dające jednak dokładnej miary wartości ludzkiej. Do sprawiedliwej zaś opinij, jaka tylko w ukształconem i rozważnem wyrabia się społeczeństwie, jakże u nas daleko.

Znikomość rzeczy ludzkich dotyka to nawet, co wcielając się niejako w naturę licznych pokoleń, powinny mieć największą w świecie trwałość.

Jeżeli jednak widok sławnych zwalisk i zapomnianych grobów zasmuca, to nierównie boleśniej jest upadek wielu dawnych pojęć i obyczajów. Siła ludzkiego ducha tak jest wielką, że, lubo skutkiem zmiany wyobrażeń lub moralnego upadku, pewna ożywiająca społeczeństwo idea wygaśnie, to obiekując ją forma długo jeszcze pozostaje, ludek jak widmo, pozorami życia. Otóż właśnie dziś w miejsce rzeczy, pozostały z małym wyjątkiem tylko zewnętrzne formy. Znamy wprawdzie ludzi, prawdziwych chrześcijan i oddajemy im cześć należną; znajdując się też ludzie uczynni, a nie chełpliwi, ale jakież to zastęp nieliczny; zwykle zaś sąsiedzka życzliwość ogranicza się na gościnnem przyjęciu i zachowaniu form towarzyskich. Bogatszych spotyka skryta zazdrość i niechęć, uboższych lekceważenie. Surowość, z jaką sądzimy drugich, wyrównywa tylko naszemu zadowoleniu z samych siebie. Ta skłonność do potępiania, jeżeli nie łączy się z wrodzoną złośliwością, niekiedy potworne przybiera rozmiary. Złośliwiec dla popisu z konceptem, sporniewiera zasługę, skompromituje kobietę, nieposzanuje przyjaciela, jeżeli podobny człowiek mieć go może. I zamiast surowego skarcenia i pogardy, ten rodzaj trefnisia zuchwalstwem zdobywa sobie pewne stanowisko i znajduje naśladowców. Śmiech szyderczy, z jakim malarze wyobrażają szatana, posiada niszczącą siłę tego ducha ciemności; od niego też pochodzi zarażająca dziś towarzystwo, jako też część prassy dowcipomania i plotkarstwo, będące prawdziwą plagą naszego społeczeństwa. Ten rodzaj zdolności, nie potrzebujący nauki a nada-

jący pewną wyższość i towarzyskie powodzenie, wabi płytki umysł młodzieży, która, zapatrząc się na starszych, zwiększa zastępy ludzi dowcipnych. Słusznie któryś z pisarzy o jednym z takich powiedział:

„Nie umie myśleć, a więc dowcipkuje“.

Rzeczywiście brak poważniejszego na świat poglądu, zatracenie w pospolitości życia uczucia piękna, a ztąd płynąca obojętność dla literatury i sztuki, sprawia, że po załatwieniu naszych obowiązkowych zatrudnień, za główną rozrywkę uważamy zajmowanie się drugimi. Ztąd rodzą się plotki, w których nieraz mężczyźni przewyższają najwięcej oskarżaną o to płec piękną.

Zaloty młodzieży bywają ulubionym tematem złośliwych uwag, które nieraz szkodliwe mają następstwa. Oto np. ktoś przybywa z nowiną, że Kazio był po raz drugi w wizytę u państwa N. Oczywiście zakochał się w ich córce, którą nazwano Ewunią. „Czyż nie widzieliście państwo“, powiada pani X., jak zabójcze na ostatnim wieczorze rzuciła nań spojżenia, dwa razy wybrała go w kotylionie. To wprawna kokietka, dodaje pan Z.; niedawno tak samo wabiła p. Karola, Wacia i Olesia, biedny Kazio, jak się ożeni, będzie miał wielu przyjaciół i t. p. Po rozejściu się tak ważnej wiadomości, różnemi dodatkami ubarwionej, pp. Karol et Comp., śpieszą do Kazia z przyjacielskim ostrzeżeniem, aby się nie dał złapać, gdyż Ewunia ma liczne rodzeństwo, posag zatem nie wielki, wreszcie zwierają mu się ze swych urojonych w sercu panny sukcesów. Kazio, uznawszy mądrość rad przyjaciół, zwłaszcza odnoszących się do posagu, zaprzestaje wizyt. Paniątka może usnuła planik, a może serce jej prawdziwie zabiło uczuciem, lecz ludzie lubią szczęście drugich zniweczyc, kryje biedna lzy, lecz nie tak, aby się o nich nie dowiedziano. Kazio szczyli się więc odniesionym tryumfem, nabiera coraz większej pewności siebie, lekceważenia kobiet i staje się nieznośnym w towarzystwie. Poprzestaje na powyższym obrazku, gdyż mniemam, że czytelnicy sami więcej tego rodzaju zdarzeń sobie przypomną.

Nie sądzicie, abym przez dość zwykłą nam galanterię składał całą winę na mężczyzn; owszem, przyznać muszę, że nieraz powabne i wiele zalet mające paniątki, płochością, zbytnią wrażliwością serca lub nierozważną tylko mową same swą przyszość niweczają. Kto temu głównie winien? czy dzisiejszy system wychowania wpływa na duchowe podniesienie naszych kobiet? a tem samym całego społeczeństwa, odpowiedź na te pytania wymagająca gruntownego i umiejętnego opracowania, biegłej ręce pozostawiam.

Kończę moją dzisiejszą pogadankę; jeżeli zaś znowu wstrząśnie mną boleść, lub da Bóg pocieszającą wiadomość, nie zaniedbam podzielić się z niemi z czytelnikami Kroniki.

Brodzić.

## SZKICE z WŁOCH

przez A. O...o.

### II.

Hotel Europejski w Rzymie nie może mierzyć się, ani obszarem ani wspaniałością architektoniki, z warszawskim imiennikiem; dorównywanu natomiast pod względem ceny, a czystością pewno przewyższana,—nie dla tego żeby Włochy celowały nad plemieniem słowiańskim tak pożądanym przymiotem; Broń Boże! ale dla tego, że służba składa się prawie wyłącznie z nadreńskich kelnerów i drezdeńskich *stubenmädchen*. Jedna z tych ostatnich, pocziwych, choć niezgrabnych, stworzeń, przyniosła nam w dzbankach obficie świeżej wody, której natchmiastowe użycie po paru dniach drogi, wydało się nam znużonym, rozkoszą nad rozkoszami!

Byłem więc w owej chwili wdzięczny przedsięwziętej Germanii za rozsyłanie głodnych,

a pracowitych dzieci po wszechziemiach i wszechwodach, gdziekolwiek nęci ich spodziewany zarobek.

Dzięki regularnemu rozłożeniu się niemieczyny, spotkać się można wszędzie na świecie z poczuciem i zaspokojeniem potrzeb cywilizowanego człowieka. Nie ma też narodu w którymby obyczaj służby lub kariery głębsze zapuścił korzenie; dewizę „*Ich diene*” przyjęto za programat ogólny, a do wypełnienia go każdy Niemiec od kolebki czuje się uzdolnionym i powołanym. *In servitium ruunt*, powiedziałby dzisiaj o nich Tacyt.

Rozpakowawszy kuferki, umywszy się i przebrawszy, siadłem w wygodnym krześle, i z uczuciem zadowolenia, które daje spokojne sumienie i dokonany obowiązek, zapaliłem cygaro, zatapiając się w milczącym odpoczynku. Jak Bramin kateptyczny nie myślałem o niczem, i było mi z tem dobrze. Lecz przeczorny Z., który myślał zawsze za dwóch, wyrwał mnie z dumania.

— Wyjechalimy, rzekł, z Paryża w celu przepędzenia Wielkiego Tygodnia w Rzymie. W Poniedziałek, a najdalej we Wtorek wielkanocny, musimy wracać do domu. Pędziliśmy dotychczas bez zastanowienia i bez obrachunku. Czas wzięść kredkę do ręki. Dziś piątek, mamy więc przed sobą dni 10. Ułóżmyż, co każdy z nas czynić będzie, i jak ten krótki czas zużytkujęm.

Pierwszy raz przyszło mi na myśl, że możemy mieć różne upodobania, i że krótki pobyt nie pozwoli czynić wzajemnych ustępstw bez pewnej ofiary.

— Rozumnie mówisz jak zawsze, odrzekłem, czekam na ciąg dalszy.

— Mielimy od samego początku zamiar, przyrzeczyć się ceremoniom Wielkiego Tygodnia, a przynajmniej niektórym najważniejszym. Czy trwasz w tym zamiarze?

— Trwam.

— A zatem podejmuję się otrzymać karty wstępu, mam bowiem znajomości pomiędzy tutajszymi *monsignori*. Czy chcesz zwiedzać bogactwa sztuki, starożytne pamiątki, zbiory i galerie, biblioteki i bazyliki? Uprzedzam cię, że, jeżeli chcesz, abym był twoim towarzyszem, musisz wstawać o 6-iej rano, a wracać będziemy nie wcześniej, jak około 6-iej wieczorem.

— Ależ ty temu nie podobaś.

— Zobaczymy.

— W złą chwilę wybrałeś się z podobną propozycją mój drogi. Przyjrzałbym się chętnie temu, co po zmarłych pozostało, ale w dzisiejszych okolicznościach ciekaw jestem przede wszystkim żywych. Znam tu kilka osób.....

— A więc każdy w swoją drogę. Punkt zerknięcia w kościele, na *table-d' hote*, i nocą pod tym gościnnym dachem.

Mówiąc to, Z\* wziął za kapelusz i uściśnawszy mi rękę wyszedł czemprędzej, aby chwili nie tracić naprzóżno.

Rozmowa powyższa wytłómaczy ci, miły czytelniku, dla czego obecne wspomnienia są tak ubogie w opisy artystyczne i starożytne. Szkoda, że Z\* nie spisał swych spostrzeżeń, byłoby z pewnością bardzo zajmujące, i chętnie podsunąłbym je na miejsce moich; lecz niestety! tego nie uczynił..... a dziś próżnym go szukał!

Nie wiem, łaskawy czytelniku, czy mnie zrozumiesz. Otóż wyznam ci szczerze, że podziwiam dzieło stworzenia i porządek niezmienny, owoc Wszechmocnego rozumu; ale uznanie takowe, pokory pełne, nie wyklucza skrytej żylki do chaosu. Nie cierpię wprowadzać systematycznego porządku tam, gdzie go konieczność nie wymaga, i w niczem więcej nie znajduję upodobania, jak w gąszczu leśnym, różnobarwnym a obcym tłumie, lub rozdrożu między kilku nieznanymi uliczkami wielkiego miasta. Jadąc do Rzymu cieszyłem się z niespodzianek, które mnie czekały; przyjechawszy, rad byłem, że żaden gwóźdź nie wbił się w głowę, że myśl swoboda i nie obciążona ułatwia-

ła się na równi z dymem cygara. Jak widzisz, porządkny i systematyczny Z\* źle trafił z projektem rozdzielania na dni, godziny i minuty, naszych zajęć. Już samo naprzód wyliczenie przedmiotów, które miały podpaść pod oko, napełniało mnie wstrętem. Nie żałuję jednak, że tak postąpił, bo w istocie w 10 dniach nie można było wszystkiego widzieć, a pole, które sobie obrałem, żyznem było w niezatarte wspomnienia.

Tymczasem piąta już wybiła i cygaro się dopalało. Zadzwoniłem na kelnera, aby sprawdził dorózkę; sam zaś wdziałem nowe rękawiczki, starannie wszołką wygładziłem kapelusz, i spojrziałem w lustro, czy odzież na mnie w porządku? Miałem bowiem jechać do markiza P. byłego adjutanta Franciszka II-go, z którym przed kilku laty zapoznałem się w Paryżu, gdzie przez 6 miesięcy świetne i wystawne życie prowadził. Zwiedzał wtedy salony stolicy, wszędzie dla dowcipu i dobrego ułożenia chętnie przyjmowany. Przyjemnej i męskiej postawy, wykształcony i wielką bystrością obdarzony od natury, holdował słabostce, której nie nabył pewno w obozach lub na odwachach; dbał przesadnie o to, ażeby wszystko na nim wyglądało jak z igły, i zdawał się doprawdy nieszczęśliwym, jeżeli na ulicy lub w wielkim świecie, znajomy, mniej porządknie ubrany, do niego się zbliżył. Żartowano pocichu z jego manii, próbowano nawet czynić to głośno; lecz gdy parę razy zmarszczył brwi i sucho się odciął, dano mu pokój. Dla mnie był, pomimo różnicy wieku, bardzo przyjacielski, a nasze związki i codzienne przez czas jakiś pożycie, pozwalały mi tuszyć, że będę dobrze przyjęty, jakkolwiek byłem niespodziewanym gościem.

Znając przytem arystokratyczne przyzwyczki margrabiiego, liczyłem na to, że musi uczęszczać do znaczniejszych domów rzymskich, i że pod jego opieką uda mi się zajrzeć do ich wnętrza. Oczywiście, że z takim zamiarem, musiałem stawić się, jak do przeglądu,—bez proszka na surducie, bez pyłu na glansowanych bucikach.

Oto, wytłómaczenie dorózki i zaglądnania do lustra.

Woznica mój, Rzymianin, od razu dał mi poznać, że krew Italska, to nie Germańska. Zaciął ostro małego, ale szparkiego konia, który rączył kłusem popędził ciasnemi uliczkami wiecznego miasta.

Na pierwszy rzut oka, Rzym przypomniiał mi Wiedeń. Piazza di Spagna nie jest placem, ale raczej rozszerzoną szyją ulicy, podobnie jak Graben. Via Condotti, którą jechaliśmy na Corso, żadnego odrębnego wrażenia nie pozostawia. Same Corso, szerokie jak ulica Senatorska, i ogromnemi pałacami z dwóch stron obudowane, porównać można do Herrengasse, gdzie znajdują się rezydencje wielkich panów austriackich.

Dopiero na placu Colonna starożytność nadaje wybitne swe piętno stolicy historycznej świata. Wznosi się na nim, poświęcona chwale Marka Aureliusza, kolumna z białego marmuru, po której wiją się pasmem płaskorzeźby, przedstawiające zwycięstwa jego nad barbarzyńcami. Na wierzchu stał niegdyś posąg Imperatora; lecz ci sami barbarzyńcy, których kłeskę ze szczytu pomnika opiewał, musieli kilkaset lat później stracić go na bruk zdobytego grodu, gdyż po nim szczątki nawet nie pozostały. Papież Syxtus V. odnowiwszy pomnik, postawił na nim Ś-go Pawła. Zdawałoby się, że apostoł, który rozszerzył po świecie wiarę, i krwią swoją przypieczętował świadectwo prawdziwe, powinien już na wieki, uznany przez wszech-ludzkość za jej dobroczyńcę, panować światu z wyniosłego piedestału. Lecz ludzkość nie rządzi się loiką, i obawiam się bardzo, że niezadługo, skutkiem przegłosowania paru gąłkami, Apostoł ustąpić będzie musiał miejsca wyrzeźbionemu w marmurze Garibaldiemu. Los Ś-go Piotra, który góruje nad forum z kolumny Trajana, mniej wątpliwy jeszcze; bo

gdzieżby przyszło podziękować króla *galant-humo?*

Lecz kiedy był w Rzymie, perspektywa podobna wydawała się bajeczną. Tron papieżki osłaniał przeciwko zewnętrzznemu nieprzyjacielowi wszechpotężny Cezar Gallów, a w podwładnym narodzie. Papieżstwo znajdowało uznanie, oparte na starodawnym obyczaju chrześcijańskim.

Minawszy plac i pałac Colonna, wpadliśmy znów w ciasne zaułki, którymi przedostaliśmy się aż do placu Navone, jednego z największych w Rzymie, który służy za targowisko przekupek, podobnie jak u nas stare miasto. Czasem poetyczniejsze dostaje mu się przeznaczenie. Gdy upały pieką nieznośnie w kanikuły, władza uprzęta stragany, zatyka kanały i puszcza z fontann strugi żywej wody, które w kilka godzin plac zamieniają w małe jezioro. Tym sposobem ludność nadbrzeżna, doznaje tyle potrzebnej w lecie ochłody.

Blisko tego placu mieszkał mój znajomy. Kiedy stanął przed bramą jego domu, wychodził właśnie, wylegantowany jak zawsze, ze stojącym, lecz szeroko rozwartym kołnierzem, różyczką w dziurce od surduta, i złotem okutą laseczką. Poznał mnie zaraz i serdecznie powitał.

— Czy na długo jesteś z nami, kiedyś przybył? Już myślałem, nie słysząc o tobie, żeś zginął na jakiej szalonej wyprawie.... Jakem rad z obaczenia cię, i jak łaskaw jesteś, żeś do mnie zaraz pośpieszył! Chodź na górę, niech się tobą nacieszę.

Wszystko to wypowiedzianem było serdecznym i przyjacielskim tonem, który od razu przywrócił *status quo* dawniejsze. Już to Włosi mają częstokroć wiele serca, a zawsze ogromną łatwość w pożyciu.

Nie darmo markiz zapraszał mnie na górę, mieszkał bowiem na piątym piętrze. Wdrapaliśmy się na schody, i po pierwszych przywitaniach, zaraz przekonał mnie, że się na jotę nie zmienił.

Winszuję, jesteś z większym gustem ubrany, niż za lat młodych. Wcale porządnie. Brak ci tylko kwiatu u boutonierki. Pokażę ci gdzie dostać można małych fiaszeczek, które się przyczepiają na odwrotnej stronie klapy, a w które wpuszcza się ogonek kwiecica, aby nie zasechł. To nowy i bardzo dobry wynalazek angielski.

Byliśmy u jego progu. Zatrzymał się chwilę i jakby z odcieniem wahania rzekł:

Rzymianina lub Włocha, Anglika lub Francuza, nie wpuszcilibym do siebie. Gdy który z nich przyjdzie, kołacz naprzód, niema mnie nigdy w domu; ale wy Polacy wiem, że nie dbacie w stosunkach waszych z ludźmi, o to, ile kto ma w kieszeni. Wpuszczam cię przeto, a nawet zapraszam do siebie, chociaż wiele zmian ujrzyś od czasu Paryża.

Mieszkanie margrabiego składało się z trzech pokoi nie zbyt obszernych. W pierwszym spotkaliśmy psa wyżła—i nie, ale to formalnie nic więcej. W drugim, dwie stare komody, świecące resztkami złocenia, opierały się o mur; parę obrazów, lichych kopij, wisiało na ścianie. W trzecim, w kącie, stało łóżko obwieszone bogatą oponą, dywan na wpół wytarty rozpościerał się pod nogami; biuro staroświeckie, obłożone różnemi małemi kosztownościami i pamiątkami, stało przy oknie, tuż obok olbrzymia szafa, w której zapewne margrabia chował ulubioną garderobę; umywalnia zastawiona angielską porcelaną, i kilka krzeseł i foteli dopełniały umeblowania.

— Siadajże mój drogi, rzekł mi, i nie przypatruj się tak mojej chudobie, bo będę żałował, zem cię tu wprowadził.

— Margrabio, wyrwało mi się prędzej niż zmiarkować mogłem moje słowa, coż to się stało? Wybacz przyjaźni—wiesz, ile do ciebie byłem zawsze przywiązany! Dorozumiewam się nieszczęścia, a byłbym stokroć sam nieszczęśliwszy, gdybyś nie dozwolił mi brać w niem udziału,

choćby tylko sercem—i dłoń do niego wyciągnąłem.

Ucisnął ją z lekka, widocznie wzruszony, a potem, machnąwszy ręką, dodał: Cobys pomyślał sobie gdybyś był Francuzem?

— Naturalnie, że Paryż wszystkiemu winie! rzekłem, zarumieniwszy się lekko.

— A gdybyś był Anglikiem?

— Że konie i psy pana zjadły.

— A gdybyś bankierem był i żydem?

Nie wiedziałem czego odemnie chce, ale widząc, że stara się utrzymać rozmowę w tonie wesołym i żartobliwym, nie sprzeciwiłem się.

— Oczewiście, że grałeś na różnicy kursów i sam nisko spadłeś.

— Brawo! dobrze przebył *examen*, ale zostaje jedno jeszcze pytanie! Co myślisz o margrabi P. szlachcicu neapolitańskim, widząc go zrujnowanym?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Po chwili milczenia, nastroiwszy się do poważnego tonu, rzekł znów do mnie.

— Będąc moim przyjacielem powinienes być od razu zgadnąć. Dawni rycerze przysięgali w wigilją passowania, że nigdy sprawy, które służy, nie zdradzą i że za nią ostatnią kroplę krwi przeleją. Wiele takich przysięg złożono w ciągu dziesięciu blisko stuleci, od których ród mój istnieje, a żaden z przodków moich nie sprzeniewierzył się. Wierność ze krwią wysłałem i z nią pójdę do grobu. Sprawa Burbonów potrzebowała zaszków; nie skapiłem ich dopóki była możność.... Dziś zostały mi okrucy majątku, niegdyś znacznego; mam tyle tylko, ile wynosi licha pensya półkownika (jak widzisz dobrowolnie abdykowałem z generalstwa), ale i te resztki gotów jestem poświęcić na usługi prawowitego mego monarchy Franciszka II.

Prassa europejska, przynajmniej część jej najbardziej czytana i rozpowszechniona, tak była zdepopularyzowała dynastya neapolitańską, że wyznanie margrabiego przejęło mnie raczej nowym żalem do niej, niż uznaniem, jakie się rzeczywiście jego bezinteresowności i poświęceniu należało. On zaś wszedłszy na drogę wynurzeń, opowiadał mi, jak przyczynił się do organizacji band *Tristaniego*, jak sam walczył w ich szeregach, jak z początku najpiękniejsze usmiechały się nadzieje; ale wkrótce przeskody stawiane przez rządy, przychylnie rewolucyi włoskiej, następnie zaś brak karności śród nieokrzesanych chłopów, wreszcie sroższy nad wszystko brak pieniędzy i środków materialnych, zniszczył całą budowę, z mozołem przez wiernych towarzyszy upadłego króla wznieśioną.

— Tutaj przynajmniej, rzekłem mu, znaleźliście sympatyczny przytułek, a przytem pewno zasilają was tajemną pomocą?

— Coż ci się śni? przerwał margrabia—przytułek! pewno, że nasza kołnier nie biorą, ażeby za drzwi wyrzucić. Ale patrz na rzymskich *monsignorów*: z wzroku i z manier ich wyczytać możesz, choć nam tego wyraźnie mówią, że ich kompromitujemy, że na nich naprowadzamy wroga, że nadużywamy świętych haseł, że sprawę naszą okrywamy płaszczykiem religij et c. etc. Czy podobne usposobienie zgadza się z rzekomem faworyzowaniem, o które liberalne dzienniki robią tyle hałasu! Co najwięcej, że idącym na śmierć, księża nie odmawiają błogosławieństwa i absolucyi: piękna pomoc dla żywych!

W ogóle margrabia wydawał się mocno rozżalonym na administracyę państwa Papieżkiego, stosującą się w postępowaniu swem do polityki kościoła, który od wieków już nauczony doświadczeniem, unika mieszania się do czysto świeckich sporów książąt i ludów, ilekroć sam ozięnie zaczeponym nie jest. Wistocie, kto ma afirmować prawdy wieczne i wpajac je po wszystkie czasy i nieustannie po wszystkich miejscowościach świata, nie może wiązać się ze stronami w przechodnim procesie interessów, lub też praw ludzkich, które sama Opatrzność

ostatecznie rozszadza. Kościół ma być otwarty nawet dla winnych, nawet dla zbrodniarzy, nawet dla zwycięzców! Lecz tego najwyższego wykwit miłości chrześcijańskiej, margrabia, pomimo całej szlachetności, nie dorósł był jeszcze. Rekryminował przeto zawzięcie i dodał nawet w chwili zapomnienia:

— Już to, gdyby się obustronnie obliczyć, nie wiem, kto kogo kompromitował: czy my Stolicę Piotrową, czyli też księża dynastya Burbońska?

— Ależ, wtrąciłem, chcąc mu przerwać, może postępowanie waszych ludzi było przyczyną, że chłodno się zapatrywano na te roboty. Słyszałem, że w Abruzzach żywili się ludzkim mięsem.....

— Oto sprawiedliwość świata! wybuchnął margrabia. Drugi raz zawodzę się na tobie dzisiaj, za trzecim razem będzie kwita z przyjaźni!

Tu odetchnął i dodał spokojniej.

— Były może *excessa*, było może ich dużo! Już to góral nasz jest na wpół dziki. Powołany do broni nie żartuje i walczy, jak zwierzę. Ależ dla czego, kiedy ich piętnaście tysięcy uwiedzionych nowością i bezpiecznym rozbojem, potoczyło się za Garibaldim, cała prassa brzmiała hymnami na cześć tych aniołów, mścicieli wolności w czerwonych koszulach! Teraz, kiedy rozczarowani z nami się łączą i chcą wypędzić cudzoziemców, których najścia z północy nie przewidywali, chrzczą ich mianem niecnnych bandytów, obrzucają kałem i skazują na gemonia historyi.

— Przebacz kochany margrabio, rzekłem, nie chciałem cię rozgniewać, ani też w czemkolwiek dotknąć. Jezelim wspomniał o bajecznym festynie fantastycznie żarłocznych górali, to dla tego, że mnie samemu głód doskwiera, i że gdyby dłużej czekać przyszło, możebym poszedł za ich przykładem! Lecz z tobą rozstać się nie mogę, chociażby dla tego, że tyle rzeczy wkrótkim czasie mi wyjaśniłeś; błagam cię, jak o łaskę, bądź tutaj moim przewodnikiem, bo inaczej, jak widzisz, mogę się zabłąkać, i twoją drogą dla mnie przyjaźń utracić. Jezeli zgadzasz się na rolę Mentora, to uściśnij twego Telemaka i jedźmy razem na obiad, na który mam zaszczyt pana margrabiego prosić.

— Chętnie przyjmuję zaproszenie, odrzekł margrabia udobruchany; tem chętniej, że dzisiaj dzień postny, a w takie dni zazwyczaj suszę, aby mieć za co poczęstować, z uzbieranych oszczędności, znajomego, gdy się okazya zdarzy. Żyw ty mnie dzisiaj, a ja podejmować cię będę w Niedzielę. Lecz wiedz przyjacielu, że kto chce margrabiego P. posadzić u swego stołu, musi mieć albo własne mieszkanie i galonową liberyą, albo też zawieźć go do Spielmann. To jedyna restauracya, gdzie godzi się zająrzeć.

Za chwilę, jechaliśmy wyteżonym kłusem do Spielmann.

A. O—ki.

## PODRÓŻ PO AFRYCE.

### II.

(Dalszy ciąg).

Słyszeliśmy nieraz zdania francuzkich oficerów, że Arabowie są narodem tak zepsutym, że z nimi należy postępować bardzo srogo i rządzić postrachem. Prawda, Arabowie, jak i wszystkie ludy mało wykształcone i stojące na pierwszym szczeblu rozwoju państwowego życia, mają wielki szacunek dla siły; lecz w ogóle bardzo sprzyjają spokojnemu systemowi rządzenia. Lud ten lubi grzeszność, łatwość przystępu do swoich naczelników, którzy mają siłę i władzę; i w takich wypadkach nieraz gotów jest bronić swej władzy, narażając swe mienie i życie. Gdyby rządzący pojowali dobrze na czem to zbliżenie między zwycięzcami a zwyciężonymi zależy, mogłoby ono nastąpić daleko prędzej i łatwiej w Arabii, i Francuzi dalekoby więcej wyciągnęli korzysci ze swych kolonij, jak wyciągnęli dotąd.

Cywilizacja arabska średnich wieków głęboko wsiąkała w życie tego ludu, i chociaż potem zaginęła, tradycja o niej pozostała przecież. — Trudno uwierzyć, nie śledząc osobście, nie zbliżywszy się z Arabami, jakie w nich jest delikatne poczucie przyzwoitości, jaki takt, o ile przygotowane jest tu pole dla posiewu nauki i wykształcenia, jaka ochota do zaznajamiania się z naturą i ze światem fizycznym. Ależ to razy zdarzyło się mi siedząc wśród Arabów, opowiadać im o zjawiskach elektryczności, magnetyzmu, o wynalazkach i t. p. rzeczach. — Usiadłszy w około mnie po wschodniemu, w milczeniu słuchali z największą uwagą opowieści tych, ciągnących się czasami całymi godzinami. Gdy coś wydawało im się nadzwyczajnym i godnym podziwu, wszyscy jednogłośnie wydawali okrzyk „bo, bo, bo, bo“, kiwając głowami. Tylko ci, co uważali się za ucześniejszych z pomiędzy nich, odważali się niekiedy zrobić mi pytania lub jakie uwagi, gdy inni słuchali tylko w milczeniu; lecz zadowolenie malowało się widocznie na ich śniadych twarzach, tak, iż zawsze z wielką niechęcią rozchodzili się z tych schadzek do domów. Przy takim charakterze i usposobieniu Arabów, ludzie umiejący przemawiać do nich, podzielać na ich wyobraźnię, wstrząsać ich sercem, zyskać ich szacunek, sprawiedliwością, odwagą, mądrością i dobrocią mogą zjednać sobie w nich niezwykle znaczenie i wziętość. Tem jedynie da się tłumaczyć wziętość marabutów, pokazujących ludowi różne cuda. Wątpię, żeby ludzie ci zyskiwali sławę i znaczenie za pomocą cudów. Arabowie bowiem nie są tak ograniczeni, żeby nie wiedzieli, że za niepojętem dla nich zjawiskiem ukrywa się najnaturalniejsza przyczyna. Lecz marabuci dają zwykle wielkie dowody światłego rozumu, poświęcenia, głębokiej religijności i dobroczynności. Takiemu człowiekowi Arabowie dają się łatwo powodować i takim też był u nich emir Abd-el-Kader. Taki człowiek doznaje od swoich rodaków bardzo wiele, ale też i wiele czynić musi, jeżeli nie chce stracić swej popularności. Powinien on umieć pocieszać nieszczęśliwych, godzić waśnie i niesnaski i kierować przekonaniem. Wtedy to staje się człowiek taki duchowym przywódcą plemion go otaczających; a jeżeli sława świętości jego rozniesie się dalej, wtedy przychodzą do niego po radę i błogosławieństwo, czasami z bardzo oddalonych krain. Po śmierci takiego świętego człowieka, grzebią go z wielkimi honorami, otaczają grób wojennymi trofeami, i wdzięczni rodacy przychodzą modlić się tam, unosząc z grobu garść ziemi, która pokrywa te szczątki. Dzieci zmarłego są naturalnymi stróżami mogiły ojca; i jeżeli posiadają ojcowskie enoty są poważani w kraju, jeżeli zaś nie, (a to zdarza się najczęściej), pozostaje im miano „syn takiego lub takiej“, żeby zachować pamiątkę zasług ojca lub matki. Lud wtedy szuka innego świątobliwego człowieka, któryby mógł być im przewodnikiem i kierownikiem ich sumienia. Ludzie ci pojmują bardzo dobrze, że siła ich leży w tem kierownictwie, a nie w sile materialnej i w bogactwie; dla tego też marabuci zawsze odmawiają przyjęcia ofiarowanego przez rząd francuzki obowiązku kaida, szeryfa lub szeika. Przeciągnięcie tych ludzi na swoją stronę jest rzeczą nadzwyczajnej wagi; ale francuzi w tym względzie zrobili dotychczas bardzo jeszcze mało i z tego powodu zbliżenie między zwycięzcami i zwyciężonymi postępuje nader powoli. W ostatnim zaledwie czasie otworzono mnóstwo szkół ludowych i wyższe gimnazjum dla Arabów w Algierze; ale lekceważenie, z jakim Francuzi odzywają się o wszystkich, co Arabowie przywykli czcić i poważać, będzie na długo jeszcze wielką przeszkodą do zbliżenia ich prawdziwego do siebie. Należy przyznać, że arabowie są leniwi, że nie lubią europejskiej cywilizacji, że kłamią i oszukują; ale są to następstwa barbarzyńskiego panowania tam Turków w ciągu prawie lat trzechset. Arabowie takimi poprzednio nie byli. Do czasu zawojowania Algieru przez Turków, ludność była bogatą, wykształconą,

handel i rolnictwo dość kwitnęły. Mieszkańcy zajmowali się uprawą różnych roślin, osuszali pola za pomocą kanałów, skóry zaś jedwabne i wełniane materye, makaty złote i srebrne, pachnidła i metalowe arabskie wyroby, były przecież znane światu całemu. Dość spojrzeć na meczet Bu-Abedina w Tlemsenie, na pałac w Konstantynie, aby przekonać się, że i architektura arabska nie straciła ze swej oryginalnej lekkości i piękna.

Ile wiadomo z różnych pozostałych tu i owdzie aktów dawnych, cudzoziemcy, otaczający ostatnich arabskich królów byli wprowadzili dobrą administracyą, uregulowali finanse i kontrolę, jakoteż polepszyli zarząd całego kraju. Potem nastąpiła tyrania tureckich baszów, którzy wszędzie siali niezgodę, żeby tem łatwiej grabić jednych przy pomocy drugich; oszukaństwa, zdzierstwa urzędników, brak pewności o jutro, niesprawiedliwość i przedajność sędziów przyprawiły w końcu ludność do tego stanu, w jakim się dziś znajduje. Lecz co zrobiła ręka ludzka, taż ręka może i naprawić; złe siane przez Turków może być poprawione przez Francuzów, jeżeli tylko przystąpią do tego z cierpliwością, stałością i energią.

Górskie plemiona nigdy nie poddawały się zupełnie obcej przemocy i dla tego zachowały do dziś swój szlachetny i otwarty charakter i chęć do polepszenia swego dobrobytu na wzór europejski; co właśnie dowodzi, że cywilizacja nasza nie jest bynajmniej niedostępną dla Arabów.

Nazywając mieszkańców Algieru Arabami, popełniam przez to omyłkę wspólną wszystkim podróżnym; bo północna część tego kraju jest osiedlona przez Berberów, a tylko w południowej koczują potomkowie dawnych Arabów. Całą Algierę można podzielić na trzy pasy: *północny*, leżący między morzem i górami, ma ludność zajmującą się przemysłem i handlem; pas *średni*; między górami Atlasu i granicą piaszków małej Sahary, zamieszkała przez rolnicze i pasterskie plemiona, mieszanina Berberów z Arabami; nakoniec na południe od nich do piaszków wielkiej Sahary, leży ziemia daktyli czyli „*Belad el dżerid*“ zamieszkała przez koczujące plemiona Arabów, których bardzo mała część, osiadła na oazach, zajmuje się rolnictwem i hodowaniem stad. Mieszkańcy tego ostatniego, są w zupełnej zależności od mieszkańców średniego pasa, bo za swe daktyle i wyroby Sudanu, otrzymują od nich chleb i wszystkie potrzeby gospodarskie. Cała ludność Algieru jest mahometanśkiego wyznania, lecz do tego stopnia zepsutego, różnego rodzaju dodatkami i przesadami, że prawdziwy wyznawca proroka nie uznaje w mieszkańcach Algieru swych braci po wierze. Religijny fanatyzm znikł dziś między nimi, tak, że teraz głos szeryfów wzywających do wojny w imię religii nie bywa słuchanym, jeżeli się nie znajdują inne powody niezadowolenia. W górach, cała religia ogranicza się na znajomości Fellah, czyli „ojcze nasz“ muzułmańskiego; większa zaś część górali i Arabów koczujących zapomniawszy wszystkich obrządków religijnych, rzadko pości, nie święci zwyczajami obmywania się i odmawiania modlitw nakazanych. Francuzi, zdaniem mojem, źle robią, protegując muzułmanizm przez stawianie meczetów kosztem rządu, i obronę pielgrzymów dążących do Mekki i Medyny, wysyłając kilka parowców na morze Czerwone. Względem Arabów należy trzymać się polityki biernej; oni bowiem, nie pojmując francuzkiej tolerancji, przypisują ją wyższości swej religii, której Europejczycy oddają sprawiedliwość, chcąc zasłużyć sobie na względy proroka. System niemięszania się w religijne sprawy stanie się przyczyną upadku mahometanizmu, tej głównej zaporę do szerzenia się europejskiej cywilizacji w Afryce.

Powiedzieliśmy wyżej, że Arabowie w handlu są nieuczciwi, ale oszukaństwa tego ofiarą bywają tylko Europejczycy, których krzywdzić niema grzechu, lecz przeciwnie jest zasługą; w stosunkach z sobą bowiem, Arabowie są nad-

zwyczaj sumienni. Osiadłe plemiona często poruczają koczującym całe swe mienie dla zamiany na różne produkty w Sudanie, Marokko lub Tunisie, i prawie nigdy nie słyhać o oszukaństwie, chociaż aktów pisemnych między niemi niema. Najbrzydszą stroną arabskiego charakteru jest nadużywanie władzy i zdzierstwo naczelników plemion. W górach, gdzie zachowało się więcej niepodległości i gdzie władza podzielona jest między wielu naczelników, ludność nie pozwala sobie krzywdzić; lecz na równinach nadużycia przechodzą wszelkie wyobrażenia. Szeiki i kaidy trzymają ciągle ręce w kieszeniach ludu, i biorą z tamtąd, ile im się podoba, bez żadnej ceremonii, bez żadnych form przyzwoitości. Jeżeli Francuzi potrzebują 50 furmanek, naczelnik plemienia każe dać ich 100, a potem uwalnia 50 za pewny datek, który bierze sobie; przy rozdziale pól, najlepsze części dostają się tym, którzy mogą więcej zapłacić; gdy milicya jest powołana na służbę, idą ci, którzy nie mają się czem okupić. Jednym słowem, każdy namiot opłaca podatek, masłem, jajami, chlebem, oliwkami, daktylami, drwami i t. d. Jeżeli Francuzi wynagrodzą naczelnika plemienia honorowym burnusem lub orderem, plemię opłaca mu się na dowód swego zadowolenia; jeżeli go zaś ukarzą, również mu się opłaca, żeby go pocieszyć. Czy się kto urodzi, czy umrze u naczelnika, plemię płacić musi; jeżeli naczelnik wybiera się w drogę, plemię płaci jego wydatki; jeżeli przychodzi rozkaz odszukania przestępcy, naczelnik bierze ogromne pieniądze za jego ukrycie. Na samych jednak Francuzach leży winna tych nadużyć, bo wymagają, żeby naczelnicy byli gościnni, mieli dobre konie, ładne namioty, urządzali festyny, utrzymywali szpiegów, posyłali emisariuszów, a na to wszystko naznaczają im niewielką część podatków, których zbieranie im poruczają. Dlatego też zamiast 10 tysięcy franków, naczelnik bierze z plemienia 20; i to nie ustanie, dopóki władza administracyjna nie będzie oddzieloną od finansowej i kontrolującej, i dopóki na wszystkich rynkach nie będzie obwieszczonem, ile od kogo należy się podatku.

Mówiliśmy, że mieszkańcy północnego paas zajmują się przedewszystkiem handlem i przemysłem, lecz i rolnictwo u nich jest też zaniedbanem. Przeciwnie, ziemia tu się obrabia może w najlepszy sposób, albowiem mnóstwo kolonistów, którzy przywieźli z sobą z Europy maszyny, wiele uprawę podnieśli; lecz góry podchodzą tu tak blisko morza, że zboże sieje się prawie wszędzie na skalistych stokach gór, pokrytych cienką warstwą ziemi, która mimo dobrej uprawy i umierzwienia, rzadko kiedy przynosi więcej nad 6 lub 8 ziarn. Zbiór więc nie jest dostatecznym dla wyżywienia mieszkańców, a i ten odsyła się do Europy, bo pszenica doskonała; ludność zaś tutejsza kupuje zboże od mieszkańców średniego pasu. Są wprawdzie miejscy i w północnym pasie, któreby można doskonale obsiać, ale pierwsze próby odstraszyły europejczyków. W 1848 r. wielu Niemców, dowiedziawszy się, że francuzki rząd daje darmo ziemię kolonistom przybywającym z Europy, rzucili ojczyznę swą i „mit Weib und Kind“ przenieśli się do północnej Afryki. Dziewiczka ziemia była poruszona na głębokość, której nigdy nie dosięgał płytki pług araba. Ztąd wywiązały się miazma, które zabiły do 4 tysięcy Niemców; reszta przestraszona uciekła do swego Vaterlandu, rozpowszechniając wieści o niezdrowym klimacie północnej Afryki.

Oglądając rolniczą wystawę w Algierze, byłem zdumiony widząc faraonśką pszenicę. Kłos był trzy do czterech razy większy od kłosa na szej pszenicy, ziarna prawie dwa razy większe; a z każdego ziarna wyrastał krzaczek kłosów, których zdźbło wynosiło od trzech do czterech metrów. Taka siła rozwoju zależy, wedle zdania francuzkich uczonych, od większego działania słonecznego światła na zboże; bo przeniesiona do Europy wyradza się bardzo prędko, i nie daje nawet takiego plonu, jak zwykła nasza

pszenica. W północnej części Algieru, w ostatnim czasie, zaczęto uprawiać tytoń z wielkim powodzeniem; tak, że cała południowa Francja i Włochy palą dziś tytoń afrykański. Być może, że i to jest jedną z przyczyn, dla których mieszkańcy więcej się zajmują uprawą tytoń, jak rolnictwem.

Rolnicy, czyli średni, pas Algieru, jak mówiłem, zajmują ludność mieszaną z Berberów i Arabów, a także mała ilość kolonistów. Wielką ilość ziemi zdanej do uprawy, a niedostatek rąk, jest przyczyną, że ziemia nie uprawia się w sposób należyty; arabski pług tylko drapie ziemię, nie podejmując jej nawet na pół stopy, ale bogactwo tej ziemi jest takie, że plon nie wynosi nigdy mniej, jak 15—25 ziarn. Dodać należy, że do tego pasu przybiegają niekiedy chmury ptaków przelotnych, niszczących posiewy ze szczętem. Widziałem raz jednego pole pokryte przepiórkami w tak wielkiej liczbie nagromadzonemi, że czarno było zupełnie, a zmęczenie po długiej drodze biednego pasterstwa było tak wielkie, że można było chodzić wśród nich i łapać je rękoma. Niezważając na te zniszczenia, zarządzane przez pasterstwo, pas ten jest spichlerzem całego Algieru i nawet południowej Europy. W niektórych miejscach pola polewają się wodą, sprowadzaną kanałami. W tym to właśnie pasie Francuzi urządzili wojenne swe kolonie. Kolonie te mają obowiązek odbywania pocztowej służby, strzeżenia bezpieczeństwa dróg, i jak powiedzieliśmy wyżej, przyuczenia Arabów do życia osadniczego, do którego tak mało przywykli, że nawet w pasie średnim, gdzie rolnictwo tak kwitnie, plemiona te cztery razy do roku zmieniają miejsca swego pobytu. Czy Francuzi cel osiągną—okaże przyszłość. W pasie średnim nie dawno robiono próbę hodowania bawełny; obrano do tego dogodne miejsce, uprawiono rękoma żołnierzy i nieszczędzono znacznych nakładów. — Francuzi opowiadali mi, że bawełna co do dobroci ani trochę nie ustępuje amerykańskiej. Ponieważ nikt mi nie mógł dać żadnych wiadomości o kosztach ponoszonych tutaj, przeto trudno coś powiedzieć, czy Francja będzie miała jakie z tego korzyści w Algierze, czy nie. Widziałem na północy oazy Bu-Sady, kolonistę, który ze sprzedaży miejscowej bawełny zrobił sobie znaczny majątek. W czasie bytności mojej w Afryce, Francuzi w wielu miejscowościach odpowiednich dla uprawy bawełny, kopali artyzjskie studnie dla dobowcia wody; bo ziemia tak jest tam płodna, że gdzie tylko znajdzie się woda, pokrywa się zaraz najbogatszą roślinnością. Próby zaaklimatyzowania herbaty i trzciny cukrowej nie udały się; a kawa, chociaż się rodzi, lecz nie posiada tych własności, jakie ma kawa z Mokko. W średnim pasie sięją kukurudzę, pszenicę, żyto, owies, jęczmień i gróch. Mieszkańcy tego pasu, za zboże swoje otrzymują z północy wszystko, co im potrzeba do gospodarstwa, a z południa daktyle i wyroby Sudanu.

W średnim pasie znajdują się ruiny kilku dawnych miast rzymskich. Oglądałem szczątki miasta Samberry; około tych znajduje się kilkanaście domów, w których żyją koloniści. Ze całego miasta pozostały tylko dwie bramy, ściany świątyni Eskulapa i pomnik Augusta, postawiony cesarzowi przez oficerów cudzoziemskiego legionu, z wdzięczności za drożyniany do pensyi dodatek. Na pomniku wyróżnione są imiona oficerów, którzy ten pomnik wystawili. Widać, że ludzie w czasach Augusta niezmienili się różni od ludzi tegoczesnych, i że ich poruszały też same co i nas uczucia. W niewielkiej ztąd odległości znajduje się więzienie dla przestępców zwykłych i politycznych. Każdy więzień zwykły, a liczba ich wynosi około 400 ludzi, ma oddzielny pokój, w którym wolno mu urządzać się według upodobania swego, za pieniądze, które zapracuje. Przestępcy nie mogą rozmawiać z sobą, lecz zajmują się czem im się podoba; widziałem jednego, który zbierał okazy fauny Afrykańskiej, drugi suszył rośliny, trzeci zbierał minerały i skamieniałości i t. d. Polityczni więźniowie mieszkają w osobnym domu i nie mo-

gą być przez nikogo widziani. Więzienie, w którym mieszkają dawni zbójcy i złodzieje, wybudowane z cegły, wielkie i dobrze oświetlone, ma schody żelazne, które prowadzą aż na trzecie piętro; dach pokryty blachą, podłoga z różnokolorowego drzewa, pokoje obszernie, wysokie, czyste, tak, że więzienie to wygląda raczej, jak dobry hotel. Kuchnie na dole urządzone wyśmienicie, pokarm przygotowują zdrowy i pożywny. Więźniowie szyją buty i odzienie dla wojska, które używane tam bywa do najtrudniejszych robót, jak budowy dróg nowych, kopania artyzjskich studni, ciosania kamieni i t. d. Uderzonym ta okolicznością, po powrocie z objazdu zapytałem generała Desveau, czy nie lepiej było obrócić więzienie na koszary, a przestępców, którzy tyle razy zasłużyli na śmierć, posyłać na ciężkie roboty wykonywane przez żołnierzy, przy czem wielka ich liczba traci zdrowie, a szczególnie wzrok? Czy nie lepiej było, użyć więźni do budowania domów, które potem można byłoby wynajmować kolonistom i ciągnąć tym sposobem korzyści dla kraju z tej falangi darmozjadów? Generał odpowiedział mi, że byłoby to nieźle, ale dla ich dozoru potrzebaby wielkiej ilości wojska. „Postawcie linię strzelców z nabitemi sztućcami i kaciecie strzelać do każdego, kto zechce uciekać, a możecie być pewni, że ochota do ucieczki odejdzie.” „Uchowaj Boże”, odpowiedział mi generał, „a cóżby powiedzieli we Francji, dowiedziawszy się, że tu strzelają do zesłanych.” Dla tego „co powiedzą we Francji”, kwiat ludności ginie z pracy, a przestępcy żyją w palacu, zajmując się robotami według swego upodobania. (d. n.)

### TEATR.

**Marion Delorme**, dramat wierszem w 5-ciu aktach napisany przez Wiktora Hugo, tłumaczony przez Wacława Szymanowskiego. Pierwszy raz na scenie Warszawskiej przedstawiony na benefit pani Heleny Modrzejewskiej w dniu 29 stycznia 1873 roku. **Marcel**, obrazek dramatyczny w 1-m akcie przez Juliusza Sadeau tłumaczony z francuskiego, grany u nas po raz pierwszy w dniu 15 lutego r. b. **Hrabina**, opera we 3-ach aktach, słowa Włodzimierza Wolskiego, muzyka Stanisława Moniuszki, wznowiona w dniu 18 lutego r. b.

Zabierając się do wypowiedzenia poglądów naszych na scenę w numerze 2-m pisma tego, aniśmy przeczuwali, iż tak prędko wypadnie nam je stosować praktycznie. Dzień 29 stycznia dostarczył nam obfitej treści do przekonania czytelników o słuszności obaw naszych i o potrzebie szybkiego ratunku. W dniu tym bowiem scena Teatru Wielkiego skalana została wystawieniem jednego z najwyuzdańszych i najsprośniejszych utworów dramatycznych — „Marion Delorme.”

Nie będziemy tu się rozwodzić o stanowisku, jakie Hugo w literaturze zajmuje, ani też o kierunku utworów jego, gdyż to przed nami sprawozdawcy innych pism, jedni mniej, drudzy więcej wyczerpująco uczynili. Może stan literatury, a bardziej jeszcze sceny przed czterdziestu laty i wymagał środków tak energicznych, jakich autor „Hernaniego” nie wahał się w owej chwili użyć. Ale jeszcze to wielkiej wątpliwości podlega, czy lekarstwo w owej chwili użyte nie pchnęło społeczeństwo w gorszą chorobę niż ta, która ją pierwiej trapiła. Czy owa martwota z ekliwej konwencyonalności wypływająca nie mniej szkodliwą była, niż późniejsza apoteoza namiętności? Zapewno ta próba bolesna, której Hugo poddał sztukę dramatyczną, chcąc ją wyrwać z zastoiu, w jaką ją pchnął klassycyzm, — w dalszym biegu rzeczy użyteczną się okaże, tak jak wszelkie błędzenie po manowcach i bezdrożach, skoro ono następnie posłuży do wydostania się na szlak bity. Ale jużemy przez lat czterdzięści doś czasu mieli rozpatrzyć się, że to jest tylko bezdroże. Nie pragniemy przez to ubliżyć zkąd inąd wielkim zasługom i talentowi reformatora sztuki dramatycznej, ale błędy największych ludzi są zawsze tylko błędami.

Hugo, lubujący się w nieprawdopodobieństwach i paradoksach, jest mistrzem w ich przeprowadzaniu. Stawi on dziwaczność (*grotesque*),

a raczej potworność na ołtarzu piękna i prawdy i wzywa świat cały do składania przed nią hołdów. Taki kierunek pozbawia, zdaniem naszym, utwory jego prawa zaliczania się do rzędu sztuk pięknych, których koniecznym warunkiem jest harmonia pomiędzy formą a treścią. U niego zaś dowiedzenie sprzeczności formy z treścią stanowi główne zadanie. Nie jest to więc sztuka piękna (*Kunstwerk*), lecz tylko sztuczka kuglarska (*Kunststück*), przy której wykonaniu można podziwiać zręczność i matactwo autora, lecz niepodobna nią się zachwycić, a tém bardziej czcić ją lub szanować.

Powodzenie, jakie Hugo swemi dramatami pozyskał, zrodziło mnóstwo jego naśladowców. Ma Pinetti swych Bosców i Gieclów, ma Hugo swych Dumasów, Sardou e tutti quanti. Lecz prawdziwa sztuka nikogo z nich za kapłana swego uznać nie może. Zwracamy uwagę czytelnika, że tu nie bierzemy w rachubę umiejętności władania formą wytworną, w której Hugo celuje. Piękny język, styl wzniosły, wybujałość fantazyi, jasnowiedzenie w zamierzonej epoce historycznej, są to zalety niepospolite, lecz skoro nie rozwijają myśli godnych sztuki pięknej, pozostają tylko dowodami potężnych zasobów autora, lecz nie są zdolne same przez się wyjednać utworowi prawo należenia do sztuk pięknych. Czyż malarz mistrzowsko penzlem władający, o najświetniejszym kolorycie, może być do rzędu znakomitych artystów zaliczonym, skoro myśli obrazów jego najprostsze wymagania estetyki obraża. Co zaś pod temi wymaganiami pojmujemy, tośmy w poprzednim naszym artykule wyraźnie powiedzieli i uważamy za zbyteczne tu powtarzać. Zapatrując się więc ze stanowiska przez nas obranego na dramat rzeczony, uważamy go za rzecz potworną, sprawiającą niesmak, wstręt i oburzenie, a nadto za ubliżającą sztuce i rozmyslnie siejącą zgorzniecie w społeczeństwie. Powiadamy rozmyslnie, gdyż sam Hugo w jednej z odezów swoich powiada: „.....il faut que les auteurs se censurent eux-mêmes, honnêtement, consciencieusement, sévèrement. C'est ainsi, qu'ils placeront haut la dignité de l'art. Quand on a toute liberté, il sied de garder toute mesure. ....Maintenant l'art est libre: c'est à lui de rester digne.” <sup>1)</sup>

Gończkowa paradoksalność Hugo nie dozwala mu nigdy być konsekwentnym. Ów dramat „Marion Delorme”, którego treści w towarzystwie przyzwóitem opowiedzieć niepodobna, w którym autor przed żadnym najejniczniejszym wyrażeniem się nie cofa, ów dramat, powtarzamy, poprzedzonym jest przedmową, w której autor tak się odzywa. „Le public grave, sincère et pénétré de la pureté sereine de l'art, doit écouter des paroles chastes avec des chastes oreilles.” <sup>2)</sup> Może być większe naigrawanie się z czystości najświętszych uczuć słuchaczy!

A dalej, brnąc w sofizmata coraz głębiej, mówi: „Il n'y a rien, qui soit plus grossier, que ces prétendues délicatesses du public blasé, lesquelles craignent moins la chose, que le mot.” <sup>3)</sup> Co to za subtelne przywabianie do złego! Ktośby mógł z tego pomyśleć, że obowiązkiem jest każdego człowieka znać każde złe, jeżeli nie z doświadczenia, to przynajmniej z nazwy i z określenia.

Otóż taki to cynizm wdziękiem i czarem pięknego stylu wsparty, oślnił wielumniej lub więcej zdolnych pisarzy. Rzucili się oni z zapałem do naśladownictwa i to, co Hugo wypowiedział z mylnego wprowadzie przekonania, lecz zawsze w dobrej wierze, gdyż, oszukując innych

<sup>1)</sup> Autorowie powinni sądzić samych siebie uczciwie, sumiennie, surowo. Takim tylko sposobem godność sztuki podniosą wysoko. Gdy się ma całą swobodę, obowiązkiem jest nie przekraczać granic. Dziś, gdy już sztuka stała się swobodną, do niej samej należy, ażeby być dostojną.

<sup>2)</sup> Publiczność szczera, poważna, przenikniona znaczością sztuki, czystem sercem słuchać powinna słów czystych.

<sup>3)</sup> Nic nie obraża bardziej moralności, jak ta rzekoma delikatność publiczności zużytej, która się boi nie rzeczy—lecz słowa.

1 sam siebie oszukiwał,—to naśladowcy jego powtarzali i powtarzają dotąd bez żadnych przekonań, wprost dla zysku lub dla popularności, brnąc coraz głębiej w coraz to ohydniejsze i bezecniejsze pojęcia i zasady. Gdy zaś dodamy do tego, iż cały zastęp tych naśladowców niższym jest bez porównania ze względu talentu od ich pierwowzoru,—Hugo, natenczas będziemy mogli sobie wyobrazić, jaka to negacja sztuki, jakie szyderskie naigrwanie się z obyczajów i moralności, tych głównych podstaw bytu społeczeństwa, wieje z tego całego szeregu utworów scenicznych, począwszy od „Damy Kameliowej”, aż do „Żony Klaudyusza”.

„Marion Delorme” jest pierwowzorem dzisiejszych dramatów francuzkich. Napisana ona została w Czerwcu 1829 roku („Hernani” w tymże roku we Wrześniu), wystawiono ją jednak na scenie po raz pierwszy w Paryżu zaledwo w Sierpniu 1831 r. t. j. w rok po rewolucyi. Zawady do wystawienia jej na scenie pochodziły od cenzury ówczesnej.

Lecz słuszenie możesz zapytać, szanowny czytelniku, jeżeli „Marion Delorme” jest sztuką tak haniebnie złą i gorszącą, to dla czegoż ją u nas wystawiono? Czy uważano to może za postęp cywilizacji chcieć pod tym względem naśladować Paryż? Ależ tu przychodzi na myśl owi mniemani cywilizatorowie wysp nowoodkrytych, którzy zamiast głosić mieszkańcom Słowo Boże, lub uczyć ich rolnictwa, czy rzemiosł, rozpajają ich owszem „wodą życia”, aby ich potem w handlu oszukiwać.

Najpierw zaś radzibyśmy zapytać tłumacza, co go skłoniło do wyboru tej sztuki, której już przekład dawniejszy, dość nawet artystycznie przez Apolla Korzeniowskiego dokonany, aż nadto naszej literaturze wystarczał, bynajmniej jej chluby nie czyniąc? Ty zaś sam, czytelniku, możesz go o to zapytać w imieniu twej matki, twej siostry, twej kochanki, twej żony, twych dzieci, czy ta sama sztuka, w ozdobjniejszą szatę języka naszego ubrana, zmieni charakter i wrażenie oryginału, a więc czystej ich wyobraźni i sercom niewinnym lepszy jaki przyniesie pożytek?

Ale może też zbyt srogo tę pracę tłumacza sądzić. Może on ją wykonał bezwiednie, a przynajmniej nie obliczając skutków, jakie z tego wyniknąć mogą. Ale tu mi przychodzi na myśl zdarzenie z przeszłego wieku, które jako przykład opowiem.

Sławny ze swej oryginalności, bogactwa i konceptów książę Karol Radziwiłł (Panie kochanku) wiedzając raz pewnego Ołykę, spozstrzegł na polu biegające, nieznanne mu wcale, wielkości sporego szczura, małe zwierzątka, o zgrabnych bardzo ruchach i dziwnie ślicznym futerku. Dowiedziawszy się, że to są, tak zwane, susły (spermophilus), obficie się na Podolu gnieźdzące, a których na Litwie wcale nie znano, rozkazał parę ich pojąć i jako osobliwość zawieźć do zamku nieświeżkiego. Przekładano mu i ostrzegano, że zwierzątka te, jakkolwiek są ładnej powierzchowności, jednak bardzo szybko się rozradzają i wielkie szkody wyrządzają w polu, niszcząc niezmiernie zboże. Ale przestroga ta nie poskutkowała wcale.

— Jeszcze, panie kochanku, odpowiedział książę, znajdzie się tyle zboża u Radziwiłła, żeby i te ładne zwierzątka wyżywić i swych przyjaciół nakarmić. A zresztą, kto wie, może mi się z czasem i bardzo przydadzą; bo jeżeli tak dalej potrwa, jak jest dotychczas, to mi pan Rejtan wszystkie niedźwiedzie w Nalibokach wystrzela i na starość nie będę miał wcale na co polować. Ot wtedy będę sobie w Nieświeżu z kruciami na susły polował.

Wola księcia spełniona została i parę susłów do Nieświeża przywieziono i na pole wypuszczono. Alie po latach kilku zadziwieni włościanie poczęli spozstrzegać tu i owdzie na polach ukazujące się nieznanne dotychczas im zwierzątka. Susły się rozradzać poczęły. Już wprawdzie sto lat od tego czasu minęło, ale zajrzyjcie teraz na pola Nieśwież otaczające.

W promieniu kilku mil pole jest podziurawione małemi norami; są to gniazda susłów, jak szarańcza zboże niszczących. Okoliczni obywatele i włościanie niszczą je po kilkadziesiąt tysięcy corocznie, lecz nie wiele to pomaga, gdyż susły szybko się rozplądniają. Obecnie są kłeską całej okolicy. Oto co płocha niebacznosc kapryśnego magnata sprawiła na polach nieświeżkich. A czyż niekiedy i w dziedzinie ducha podobne się rzeczy nie dzieją?..

Ale wdawszy się raz w zapytania, zwracamy się i ku benefisance, dla czego tę, a nie inną sztukę na benefis swój właśnie wybrała? Wiadomo, jak wszyscy wysoko talent pani Modrzejewskiej cenimy. Jeżeli ją w rolach ubliżających jej godności oglądamy, to zwykliśmy ubolewać tylko, że zmuszoną bywa do występowania w nich. Ale benefis to jej własny wybór.

Jeżeli to uczyniła w celu zwabienia licznej publiczności, był to zachód wcale niepotrzebny. Posiadając tak ogólną sympatyą, p. Modrzejewska mogła być pewną, że gdyby na jej benefis dano „Galganducha” lub „Syrenę Dniestru”, toby i wtedy percepta w kassie bynajmniej mniejszą się nie okazała.

Co się zaś tyczy owacyj, które jej czyniono, to należą one nie sztuce, lecz wysokiemu jej talentowi, który tém bardziej baczycyby powinien, aby pod płaszczem swej sławy sztuk gorszących na scenę nie wprowadzał.

Pocieszającym wszakże było objawem, że nasza prasa peryodyczna dość ozięble przedstawienie tej sztuki przyjęła. Nawet niektóre pisma wcale niedwuznacznie zdanie swe o ujemności jej wypowiedziały. Niepojętem dla nas to tylko było, iż jedyny „Kuryer Warszawski” przez parę tygodni przed przedstawieniem zachęcał i roznamietniał publiczność ku „Marion Delorme”. Nawet w przeddzień przedstawienia umieścił coś w rodzaju programu ceremoniału na tę świetną uroczystość. Jakoś to dziwnie kwadruje z walkami, jakie niegdyś, w imieniu wbrew przeciwnych zasad, toczył z niektórymi pismami.

W dniu 15 Lutego przedstawiono po raz pierwszy w Teatrze Rozmaitości, tłumaczony z francuzkiego obrazek dramatyczny w 1-m akcie, napisany przez Juliusza Sandeau p. t. „Marcel”.

Wypadałoby może tu opowiedzieć treść tej sztuki, ale wybaczenie mi czytelnicy, że tego dla dwóch przyczyn nie uczynię. Najprzód dla tego, żeście już ją pewno razy kilka w innych pismach opowiedzianą czytali, więc jużby was to znudziło. Powtóre, że jestem przeciwnikiem wypełniania artykułów parafrazami. Dla piszącego rzecz to dogodna, bo dużo miejsca zajmują można; ale ja tak mało miejsca mam na swe rozporządzenie i tak rzadko się do was odzywam, że muszę być bardzo w tym względzie oszczędnym.

Otóż nie powtarzając wam treści „Marcela”, powiem, że wartość tego obrazku może być rozmaitą, stosownie do stanowiska z jakiego nań się zapatruje.

Ze względu sztuki wartość bardzo jest mała, gdyż autor, zamknawszy się w ciasnym kółku, obrał za cel sobie wydobycie najjaskrawszego efektu w punkcie przez siebie wskazanym, pominawszy prawdę i nie troszcząc się wcale ani o poprawność rysunku, ani o perspektywę. Sztuka ta przypomina ów obraz J. Magdaleny penzla Moesa, albo ową kobietę, uciekającą z pożaru, którą niegdyś na wystawie naszej oglądaliśmy. Cała siła malarza wyłożona tam była na wydobycie efektu ze zlania się dwóch światel pochodzącego. Równie też i w „Marcelu” kontrast rzeczy urojonych i umawianych z rzeczywistością całą osnowę sztuki stanowi. Jest to koncert jednej osoby (p. Królikowski) z akompaniamentem obligato.

Lecz spoglądając na „Marcela” ze stanowiska moralnego, nie mu zarzucić nie można. Nie ma tam nic przyzwoitego, ani skromnego, obrażającego, a tém bardziej gorszącego. Żadna tam sytuacja nie przedstawia nawet auto-

rowi pola do użycia tak ulubionych innym autorom płaskich konceptów i dwuznaczników. Owszem, cała sztuka trzymana jest ciągle w tonie przyzwoitym, a nawet poważnym, a wyborne wystudiowanie głównej roli czyni nawet ją zajmującą.

W dniu 18-m Lutego grano raz pierwszy od śmierci Moniuszki „Hrabinę.” Komuż z nas opera ta nie jest znana? i pomimo lekkości, a nawet czczości z samej treści wiejącej, słuchacz z niej wychodzi pokrzepionym na duchu. Jest to skutek muzyki wzniosłej, czerpiącej natchnienie ze źródła piękna i prawdy, a więc moralności. Wsłuchujmy się w nią uważnie i pilnie, a posilimy się pokarmem zdrowym, pożywnym i zbawiennym. *L. a.*

## KARTKI

### z dziennika nauczyciela domowego

PODAJE

WI. N—i.

I.

1869 Lipiec.

Piszę pod szczególnem wrażeniem, które jest summa wielu wrażeń poprzednich; jest skutkiem niezwykłego mojego położenia. W życiu człowieka jest kilka lub kilkanaście przełomów; w młodzieńczych latach najgłębiej one wstrząsają naszą istotą. Im większą jest siła rozpędu w młodzieńczym życiu, tém kolosalniejszych nabierają kształtów i znaczenia wszelkie przemiany; tem są one częstsze, a migają też one szybko przed oczyma, podobnie, jak w czasie spiesznej podróży, stacje i słupy wiorstowe.

Zdaję mi się, że widzę przed sobą tę niedawną niby chwilę, kiedy ojciec odwoził mnie do pierwszej klasy, kiedy matka dawała przy błogosławieństwie pełne czułości przestrogi! Dziś sam przyjechałem w dalekie strony, pomiędzy obcych; nikt mi tutaj dziś nie daje przestrogi, jak mam się znajdować pomiędzy ludźmi, jak ich słabe i namiętne strony wymijać, aby nie upaść i nie poranić się moralnie. Jakaż różnica! Ileż stopni człowiek przechodzi po kondygnacyjach życia w ciągu jednego lat dziesiątka!

Zostawiłem po za sobą gimnazyjum; wyszedłem ze Szkoły Głównej przed kilkoma dniami, po skończeniu ostatniego egzaminu z Filozofii, i już zaczynam trzecią szkołę—szkołę życia, która jest najtrudniejszą i najdłuższą; a stopień Magistra w tej szkole płaci się podobno dziesiątkami lat zasługi i pracy ciężkiej, setkami doświadczeń krwawych, tysiącami zamiarów i usiłowań bezskutecznych. Trudna szkoła! Gdzie jej plany, gdzie jej programy, gdzie podręczniki, gdzie profesory; gdzie koledzy serdeczni, bezinteresowni, gdzie opieka, gdzie przewodnictwo? Szukać muszę tego wszystkiego wszczepić i wdłużyć ziemi, w głębi i sile ducha.

Ale bo życie szerszém bez porównania i silniejszém, niż szkoła, płynie korytem. Na tych szerokich prądach własną już nawą i własnymi siłami sterować się musimy? Wszystko człowiek zdobyć i z ducha wykrzesać musi. A zdobywać potrzeba wiele, bo życie to szereg obowiązków wielkich i doniosłych; a siły trzeba czerpać z ducha, bo obowiązki życia mają wiele prądów przeciwnych.

Rozmyślałem długo nad tém wszystkim, bo czyż niema powodów do zastanowienia się i rozmysłu, skoro się przechodzi na grunt nowy, do tej ziemi obiecanej, wyglądanej tak długo, na to pole czynu, od tak dawna celem dążeń naszych młodzieńczych będące. Ważna jest epoka w życiu człowieka przejście ze szkoły do pracy, od książki do czynu, który, o tyle się różni od nauki szkolnej, o ile wykonanie różni się od projektu. Czyż nie ma powodów do rozmysłu, skoro po skończeniu szkoły czuje



się człowiek, jakby osierociałym. Świat cały przed nim, a jednak żadnej on drogi otworzyć sobie stanowczo jeszcze nie umie lub nie może. Przyszłość jego jest wielka i żadna; przeczuwa wiele, widzi mało. Gdzie się obróci, zapytuje sam siebie i odpowiedzi znaleźć nie może.

Tytaniczne ideje, olbrzymie plany i zamiary, świat cały uroczy i olśniewający, w snach młodości zrodzony, wszystko to roztapia się w mrocznej odległości, coraz fantastyczniejsze i coraz więcej tajemnicze przybierając kształty. A tutaj konieczność nakazuje ucześć się drogi, na którejby potrzeby jutra zaspokoić było można.

Lecz oto właśnie przychodzi do mnie obywatel poważny, sędziwy, Magister utriusque juris b. Uniwersytetu aleksandrowskiego, i odzyna się wyrazami gorącego uznania i sympaty; przywołuje wspomnienia swoje uniwersyteckie, mówi o swojej bibliotece i o swoim wnuku trzynastoletnim, o potrzebie kształcenia go w kierunku klasycznym, humanitarnym. Położenie rzeczy najzupełniej odpowiednim jest dla młodego studenta filologa. Mam nadzieję, że znajdzie tam uznanie pracy u człowieka kompetentnego, znajdzie bibliotekę dla dalszego kształcenia się; a co najważniejsze znajdzie w osobie dziadka światłe wskazówki i rady, jak postępować potrzeba przy poprowadzeniu chłopca, przy dziele tak ważnym, gdzie idzie o przyszłego obywatela kraju. Za dni kilka jadę więc karetką pocztową, w oddaloną stronę kraju, pogrążony w dumaniach. Jak przedmioty przez długą drogę ciągle się zmieniają, tak i myśli moje ciągle szybią i kłębią się. Jakie będzie towarzystwo, wśród którego mam pozostawać, jakie osobowości, około których stanąć mi przyjdzie? jakie ciepło tego ogniska, domowego, przy którym mam zasiąść? Otoczenie silnie wpływa na człowieka; jeżeli ludzie, do których zbliżyć się mamy, podniosą nas ciepłem uczucia i miłości, wleją w serce zapał, w piersi odwagę, w umysł siłę, pokażą wzniosłe cele w życiu, święte obowiązki na ziemi: wtenczas młoda, niezahartowana jeszcze dusza, albo umiera moralnie, albo długo na odrodzenie się czeka znieczulona. Ileż takich śmiertelnych, morderczych uderzeń spotyka człowieka wśród walki z życiem. Smutno zaiste widzieć ptaka o złamanym skrzydle, pasującego się do lotu; smutno widzieć rączę zwierzę z przetrąconym krzyżem, włokące się rozpaczliwie do biegu; lecz stokroć smutniejszy przedstawia widok, człowiek z przygnębioną duszą, w której zapanowało zwątpienie.

Mimowolnie w takich chwilach przychodzi na myśl, również zwątpieniem nacechowana modlitwa Mickiewicza nad wnukiem:

„Boże! coś mi rozkazał spełnić kielich życia,  
I zbyt wielki, zbyt gorzki dałeś mi do picia!  
Jeśli względów Twojego miłosierdzia godna  
Cierpliwność, z którą gorzki wychyliłem do dna,  
Jedynę, lecz największą śmiem żądać nagrody:  
Pobłogosław wnukowi, niechaj umrze młody!”

albo też wiersz Krasińskiego;  
„Kto umiera za młodu, ten jeden wygrał w walce  
[świata.”

Snąć obaj wieszczę podobnie smutne mieli na myśli obrazy, pisząc te przejmujące słowa. Lecz nie! mylili się oni. Życie im dłuższe tem większe przedstawia pole przed Bogiem zasługi. Nie godzi się duszy chrześcijańskiej upadać pod ciężarem krzyża: a więc naprzód odważnie; spieszymy do pełnienia obowiązków powołania i błagajmy Boga o siły i pomoc do ich wykonania.

Pogrążony w takich myślach przybliżałem się do celu mojej podróży. Już i noc ciemna przeszła, a mgła ponura objęła się o szyby powozu. Zdrzymałem się chwilowo i sniła mi

się niebiańska postać mojego Anioła Stróża, który nakazywał mi mężstwo i wytrwanie, i błogosławiąc znakiem krzyża, wskazywał ciernistą drogę obowiązku, jako jedynie wiodącą do zbawczych celów życia.

— Proszę Pana! poczytlijon dobrze jechał, zdałoby się na piwo.

— Co to? A! Gdzie jesteśmy, która to stacja?

— O, proszę pana, pan śpi, a my już taki kawał drogi ujechali. Tu stacja Niedźwiedźno, już konie przeprężone, zaraz karetka odchodzi dalej. Proszę pana, poczytlijon dobrze jechał, zdałoby się na piwo.

— Ale zaraz, przecież ja do Niedźwiedźna jadę,—daleko tu dwóch?

— A niedaleko, o, widać; tylko niech pan wysiada, odniosę rzeczy pańskie.

I wyszedłem, pozostali jakieś dwie osoby zaspiane w karecie; nowy poczytlijon trzasnął z bata, zaciął konie i żwawo pojechał i zniknął za chwilę na zakręcie drogi, a ja zostałem wyrzucony z marzeń moich.

Czemuż dalej nie pojechałem? a tak mi byłoby swobodnie, lekko.

Szliśmy ku dworowi. Podnoszące się słońce z mgły porannej zapowiadało dzień cały pogodny, i mnie to było zapowiedzią przyszłości pogodnej. Dochodziliśmy do dworu; wszedłem na ganek po wschodach, kołatałem do drzwi długo i tylko leniwe psów warczenie odzywało się z za węgła domu. Wyszła nareszcie zaspiana kobiecina, trochę drzwi wielkie uchyliła, przez które ledwie wcisnąć się zdołałem.

— Mówiła cicho, bo goście w przyległym pokoju spali, i pokazała mi drogę „na górkę.” Po wąskich wschodach dostałem się na podstrysze, a bładząc pomiędzy krokiewkami, i utykając po podłodze popręgradzanej belkami, trafiłem nareszcie do klamki, a następnie do pokoju niskiego i opuszczonego. Na liche łóżko przyniosła owa kobiecina pościel i zostawiła mnie w tym apartamencie, gdzie oprócz zaplamionego atramentem starego sosnowego stolika, rozbitego lustra, siwej tablicy drewnianej do pisania i kurzu kilkumiesięcznego nie więcej nie było. Taki był pierwszy mój wstęp. Zadułem się, ważyłem różne myśli w głowie, nie umiejąc tego com widział, pogodzić z tem com sobie wyobrażał i czego się spodziewałem; wreszcie strudzony nie tyle podróżą ile nawalem wrażeń i myśli, położyłem się odpocząć.

Po pewnym odpoczynku, otworzywszy oczy, ujrzałem przed sobą gospodarza, obywatela, z którym ułożyłem się w Warszawie. Postać to była wysoka, wychudła, starością wygięta; mimo to przecież, poważny lecz łagodny wyraz twarzy, białym okolonej włosem, dodatnie na mnie zrobił wrażenie a serdeczne przywitanie, rozproszyło całkiem przykre rańsze wrażenia. Zdawało się jakbym dobił do portu, jakbym po długiej bardzo podróży stanął u celu i miał odpocząć po długim zmęczeniu. Gospodarz chodził po pokoju, na którego niedostatki zdawał się nie zważać, mówiąc:

— A przecież już się zacznie nauka z Lutkiem, on przez cztery miesiące nie miał nauczyciela, bo ten z początkiem wiosny wyjechał. Kuzyn przysłał mi go z Warszawy; zaufaliśmy jego rekomendacji, a ona podobno, wyobraź sobie filologu, opierała się na rekomendacji Szwajcara z któregoś Hotelu. Był to, ni mniej ni więcej, tylko kelner z Galicyi, zasłyszał on tam, kelnerując, trochę nazwisk większych nazszych panów i trochę niemieckiego języka. Przyjechał miły, grzeczny, układny; był to niby Galicyanin z uniwersytetu, zkuzynowany z ważniejszymi rodzinami w Galicyi; dewizka obwieszona brelokami i włosy nastroszone dawały świadectwo jego słowom. Ale wkrótce pokazał się w prawdziwej swej skórze: uczył Lucia nie umiał i nie chciał; zaczął umizgi do młodej nauczycielki, Ludwicy, posypały się wiersze, oświadczyły, płacze, historyje; wszyst-

ko to skończyło się na tém, że Lucio niczego się nie nauczył, a ów pan wyjechać musiał, skoro mu fałszywe jego stanowisko przedstawiono.

Nie pamiętam, co dalej mówił, bo byłem silnie uderzony tą wiadomością. Uczułem jakby węgle rozpalone w piersiach. Obudziło się we mnie tęskne życzenie, aby w jednym okamgnieniu wyrwać się z tego miejsca. Obywatel położył rękę na moim ramieniu i rzekł, mrugając oczyma:

— Coś się tak zamyslił filologu, żal ci Warszawy, prawda? ej, bałamut z pana Władysław! Nie darmo opóźniłeś się kilka dni z przyjazdem,—powiedz, komuś tam główkę zawrócił?

To mnie do reszty już dobiło. Spuściłem głowę, jakby na nią ciężary nieobliczone położono, i odpowiedziałem cichym głosem, lży polkając:

— Smutno mi. Jadę prosto od rodziców, których po egzaminie na parę dni odwiedziłem; musiałem tak prędko ich opuścić, oni smutni, moje siostry smutne, mnie smutno..

— To nic, ubieraj się przychodź na śniadanie, rzekł gospodarz życzliwie, mamy gości. Matka pani Rudolfowej przyjechała z Franią; żona ciekawa cię zobaczyć, kobiety także. A i ty pewno ciekawys zapewne Lucia.

Szybko się ubrałem i za chwilę otwierałem już wysokie drzwi do jadalnego pokoju. Byłem całkiem obojętny na to, czy się korzystnie czy niekorzystnie zgromadzeniu przedstawia. Wszedłem z pewnym zaniecieraniem w ruchach; spojrzałem po dużym pokoju, po szafach białolakierowanych i po krzesłach podobnych, a następnie po ludziach. Było kilka kobiet poważniejszych. Nastąpiła rekomendacja. Rozmowa toczyła się zwolna, ale nie była nudną. Matka pani Rudolfowej po śniadaniu, dowiedziawszy się od gospodarza, który świeży przyniósł zeszyt Biblioteki Warszawskiej, że tam się mieści mój artykuł o gramatyce języka polskiego, rozmawiała z mną z zajęciem, mówiąc, że Lucio miał różnych nauczycieli, ale autorów jeszcze nie miał. Na wezwanie babci zawołano wreszcie Lucia; przyszedł ztrwożony, zalękniony, błądliwy. Ujemne zrobił na mnie wrażenie. Staralem się go ośmielić do siebie, ale z trudnością mi to przychodziło. Powiedziano mi że w dniu dzisiejszym jest uroczyść, bo... matka pani Rudolfowej z daleka przyjechała, że Rudolf jest ojcem Lucia, który po śmierci matki u dziadków się wychowuje. Pojechalismy na obiad do p. Rudolfa. Wieś Drażki, w której z córką mieszkał, niedaleko od Niedźwiedźna położona. Pan Rudolf był ponury, sam silny wzrost i ciężki układ ciała wyraz ten mu nadawały; po stracie żony przytem czuł się silnie przygnębionym. Lucia kochał, ale córkę, ładną piętnastoletnią Lucynkę, kochał bez porównania więcej, jak to łatwo można było spostrzedz. Nauczycielka jej, osoba poważna i wyrobionego obejścia, zauważywszy widać moje znieczulenie, odezwała się do mnie w ogrodzie, jako koleżanka zachęcając, abym z pogodnym czołem do tego zawodu przystępował. Chleb to gorzki, dodała, ale ugryźć przecież da się. Podobna zachęta, tak pożądana kiedy indziej, natenczas żadnego nie zrobiła na mnie wrażenia.

Wieczorem chciałem coś zanotować w dzienniku; wrażenia atoli były za silne i za tłumne. Teraz dopiero, kiedy parę tygodni czasu od tych chwil mnie oddaliło, wspominać je mogę.

Dnia następnego wstąpiła już we mnie pewna rezygnacja. Ale cóż ja z tym chłopcem zrobić potrafię, on wychowany jak w trephauzie: wiatr zimniejszy na niego nie powiał, słońce go nigdy nie przygrzało, bo pieczyoty babki siecią go okoliły. W organizmie, tak rozpieszczonym, czy może trwałsza, silniejsza myśl się utrzymać, czy może jakaś siła, bystrość się ostać, czy może jakaś wola charakter się wrobić? Zawolałem chłopca do siebie, żeby poznać go bliżej, i dowiedzieć się o ile i jak w naukach jest posunięty. Szedł jak na stracenie

Byłem najpewniejszy, że gdybym go o książkę zapytał, gdybym mu kazał napisać coś na tablicy, całkiemby już wtenczas stracił świadomość siebie. Zaczęłam rozmowę o dniu wczorajszym, o ojcu, o Drażkach, następnie o poprzednich jego nauczycielach, zajęciach, nauce. Wtenczas poprzynosił mi książki i pokazywał, że stąd dotąd się nauczył z tej książki, a stąd dotąd z tamtej. Zapytany o cośkolwiek, jeżeli zrozumiął o co idzie, szukał odpowiedniego ustępu w książce, podawał mi, prostował się i nienaturalnym głosem recytował. Chciałem go wprowadzić na drogę opowiadania i jakiegokolwiek rozumowania; daremnie! Umiał on tylko na pamięć niektóre wyciągi z podręczników, ale nie z tego językiem potocznym wyłożyć nie potrafił. Pojedyncze wyobrażenia jego i pojęcia były w nieporządku, w nieładzie, w pogmatwaniu, a w żadnym związku, albo w przeczości z tém co umiał na pamięć. Umiejętność arytmetyki zasadzała się prawie wyłącznie, na mechaniczném działaniu z cyframi; z języków zaś wprawnie czytał ale nie rozumiał myśli, zawartej choćby w najprostszym zdaniu. Z gramatyki, tej nauki mozolnej, żadnej korzyści, może tylko stratę w czasie i w przytępieniu zdolności wyniósł uczeń. Definicje, deklinacje, konjugacje, podziały, szematyzowanie, to świat zupełnie inny dla niego niż sam język i mowa? On dotąd żadnego związku między jednym a drugim nie wiedział. Gramatyka była dla niego zupełną zagadką. Ogólny rezultat wypadł smutny: chłopiec coś pamiętał, ale nie umiał. A więc w chłopcu trzynastoletnim, żadna władza ducha dotąd przez nauczanie nie była rozwinięta, tylko cokolwiek władza mechanicznej pamięci? Tak niestety! nisko stoją u nas w znacznej części nauczyciele domowi! Biorą się bowiem do tego powołania nieraz ludzie, którzy ani nauki dokładnie nie znają, ani też metod i sposobów uczenia. Przyszły mój uczeń był właśnie tą ofiarą niebacznosci starszych przy wyborze nauczycieli i lekkomyślnosci tych ostatnich w podejmowaniu się obowiązków, do których żadnego gruntownego usposobienia nie posiadają.

Zastanawiając się nad smutnym przykładem, jaki miałem przed oczyma, uląkłem się, wyznałem, ogromu pracy, jaki przedemną się otwierał; a lubo zwątpiały nieco, postanowiłem z całą młodzieńczą siłą jąć się trudu. Przedewszystkiem zaś zamierzyłem przeprowadzić naradę z dziadkiem, co do metody, kierunku i zakresu nauczania, jakiby w tym razie przyjąć należało.

## SZTUKA BIEGANIA NA ŁYŻWACH.

PRZEZ  
Stanisława Pieleśz.

(Dokończenie).

### III.

#### O pożytkach biegania na łyżwach.

Cokolwiekbyśmy trzymali o sobie, wyznać musimy, że przeszłe pokolenia posiadały w wyższym od nas stopniu, czerstwość i siłę ciała, jasność umysłu, moc i wytrwałość woli, dzielność ducha, uprzejmość serca. Jak szybko zaś te zalety się zniżają, stwierdza już samo porównanie pokoleń obok siebie teraz żyjących. Smutny ten fakt świadczy o jakiejś, ciągle działającej przyczynie. Tém złem, nurtującym ludzkosć, zdaje mi się być wygórowanie rozumu nad inne władze duszy. Nadużycie rozumu bowiem osłabia wiarę, ziębi miłość będącą sprężyną woli i źródłem uprzejmości, i maści zdrowy rozsądek, sądzący trafnie o wszystkim potrzebném, a umięjący od tego, co niepotrzebne mądrze się powściągać; natomiast zaś puszczały wodzę wyobraźni i oddając pod jej rządy wszystkie władze i zdolności, pobudza czucie i kazi obyczaje: a więc czyto wprost, czy pośrednio, działa na ciało, nadwątlając jego

siły, których tym sposobem pokolenie pokoleniu coraz skąpiej udziela. Kto inny potrafiłby może ten łańcuch przyczyn i skutków jaśniej wyłożyć. Ale rezultat zawsze będzie jeden i ten sam: wszystko bowiem wiąże się tu jak sieć. Każda władza człowieka wpływa na wszystkie inne: jeśli więc wszystkie cierpią, to wyjdzie zawsze na jedno: że choroba potęguje się w sposób nieobliczony.

Cierpienie wszechstronne wymaga i wszechstronnego leczenia. Skoro jednak każda z jego gałęzi oddziaływa, niby osobne jego źródło na całość, to w praktyce można a nawet trzeba ją uważać, jako odrębną chorobę. I tak, złe z wyżej wyliczonych samo w sobie najmniejsze, — upadek zdrowia ciała, — wpływa najprzód bezpośrednio na umysł; bo: *mens sana in corpore sano: umysł zdrowy w zdrowem ciele*: — powtóre, na dzielność woli: jeśli bowiem człowiek, przypadkowo chory, miewa, pomimo to, nieraz wolę silną, to trudno ją pojąć w ciele niezdrowo rozwiniętem: — nakoniec na serce; bo gdzie niezdrowie od kolebki, tam nie ma ani ducha wesolego, ani pogodnego czoła, ani uprzejmego wejścia. Gdy tedy inni usiłują działać na umysł i serce, a przez nie i na ciało, ja odwrotnie, staraniem o ciało, pragnąłbym, według sił, pomagać ich dziełu.

Ciało nie może być zdrowem bez ruchu i świeżego powietrza, zwłaszcza w krzepiącej porze zimowej. Dawniejszy stan społeczny dostarczał niewyczerpanego źródła zdrowia i hartu, w braku wygod, w łowach, w konnej jeździe, a najbardziej w trudach obozu i wojny, w ćwiczeniach i harcach rycerskich. Obecna cywilizacja stawia nas w inném położeniu. Dogadzając ciału, troskliwie oszczędzając mu trudu, nateża za to zbyt mocno rozum i pobudza wyobraźnię, a zarówno w pracy, jak w rozrywce, więzi nas zwykle w zepsutém i wątlącym pokojowym powietrzu. Ta nierównowaga i szkodliwość wpływów, którym dziś człowiek od narodzenia bywa fatalnie poddanym, budzi oddawna obawy najznakomitszych umysłów. Na miejsce dawnych ćwiczeń wojennych, usiłują oni wprowadzić nowe, gimnastyczne. Trudno wszakże, by ćwiczenia dowolne mogły zastąpić konieczne. Mało kto jest w stanie pojąć potrzebę przerwy w coś dopiero wytrwać w jej używaniu, dopóki się sam nie dowie, że zdrowie *szlachetne* i dopóki głęboko nurtująca choroba nie ostrzeże go, że już zbyt późno. A iluż to nawet ojców i nauczycieli, złudzonych pozorem zdrowia w młodém ciele, myśli tylko o jego wyzyskiwaniu dla przyszłości dziecka, nie zaś o rozwinięciu jego organów. Ztąd wynika najprzód, że ze wszystkich ćwiczeń ciała, te są najpożyteczniejsze, które najponętniejszą przedstawiają rozrywkę; powtóre, że zasługą jest odkrywać młodzieży powab podobnych ćwiczeń.

Z tych uwag wychodząc, zdało mi się, że w korzyściach żadna zabawa nie przewyższa biegania na łyżwach; tém bardziej, że ono z wiekiem łyżwiarza nie tylko nie traci dlań uroku, ale owszem jeszcze go nabywa, z rozrywki w sztukę się zmieniając.

Korzyści z biegania na łyżwach, są dwojakie: *ogólne*, t. j. wspólne wszystkim rodzajom gimnastyki, i *szczególne*, właściwe łyżwowaniu. Pierwszemi są: świeże powietrze, ruch, nabywanie zręczności i siły i odpoczynek dla umysłu.

Do drugich policzę najprzód samą już wyższość stopnia kilku z tych ogólnych korzyści. I tak, chociaż ruch łyżwowania nie zna gwałtownych wysiłen, jednak w nieustannej walce o równowagę stanowiącą jego istotę, biorą udział wszystkie ścięgna i nerwy. Żadne też ćwiczenie *równie* nie budzi działalności całego ciała. I temu to ogólnemu ożywieniu i podziałowi pracy między wszystkie organa należy przypisać drugą wyższość ruchu łyżwowego nad innymi ćwiczeniami, że go można przez kilka godzin używać bez wyczerpania sił a nawet bez znużenia. Powtóre, ruch ten, jak już

mówiłem, stosuje się, bardziej niż jakikolwiek inny, do każdego wieku i temperamentu. Nakoniec do zręczności przybywa tu zwinność i zgrabność czyli wdzięk.

Zalety łyżwowaniu całkiem właściwe są: dla ciała; rozwijanie uczucia równowagi, na którym się sztuka łyżwowa zasadza: dla duszy, a *najprzód* dla umysłu i woli, przytomność i żywotność; bo łyżwa, bystrością swych ruchów, wszelkiego lenistwa odczy: przyjemne, a jednak poważne zaprzatnienie myśli, bo bezmyślny, a nawet lekkomyślny nie daleko w tej sztuce postąpi: uspokojenie wyobraźni, uspienie namiętności, słowem zalety najzupełniejszej *rozrywki: powtóre*, dla serca i ducha, doskonała przyzwyczajenie zabawy, swoboda dziecinna, nieustające ożywienie, ochota niezwardowana, wesolość bez chmurki, konieczne warunki uprzejmości serca i niewinności myśli.

I możnaż mienić się przyjacielem ludzi, a nie sprzyjać tak pocziwej zabawie? Nieraz patrząc na rój łyżwiarzy wszelkiego wieku, charakteru i stanu, myślałem: Oto gromadka ludzi szczęśliwych. Tu, przez te kilka godzin, nie powstanie zła myśl, ani złe uczucie. Oby dzieci nasze mogły tak przepędzić czas pierwszych namiętności, by stanąć u progu męzkiego wieku silnemi, zdrowemi, czystemi!

Miałoby to życzenie być próżnem tylko marzeniem?

## ANGELA.

POWIEŚĆ

Konrada von Bolanden.

(Dalszy ciąg.)

### VI.

Chrześcijański sposób myślenia.

Następnego dnia żaden posłaniec nie przyszedł po doktora; dziecko więc musiało umrzeć, wedle jego przewidywania. Ryszard wystawiał sobie ciężki żal całej rodziny, Angelę we łzach, ojca złamanego boleścią, i coś go gwałtem ciągnęło do Saliniec. W dobry kwadrans już się zbliżał do domu Siegwartów, gdy zapłakana służąca wyszła naprzeciw niego.

— Z moim panem widzieć się dziś nie można, rzekła. Noc mieliśmy taką okropną — pan tylko co się położył. Biedna Elżunia! biedne kochane dziecko! i łzy jej na nowo płynęły.

— Kiedyż dziecko umarło?

— Dzisiaj, o czwartej rano. A jaka jest śliczna po śmierci, to zupełnie jak gdyby spała! Jeżeli ją pan chcesz widzieć, to się proszę poatygować do tego samego pokoju co wczoraj.

Ryszard zawahał się trochę, ale poszedł nareszcie; przestąpiwszy próg, stanął jak wryty pod wrażeniem widoku jaki mu się przedstawił.

Pół światło panowało w pokoju, gdyż firanki były zapuszczone, ale przebijające się przez szpary promienie słoneczne, błyszczały miriadami gwiazdek nad łóżeczkiem Elżuni. Na stole przykrytym białym obrusem paliły się dwie świece woskowe; pośrodku stał krucyfix, a tuż obok srebrna kropielniczka ze świeżo zerwaną zieloną gałązką zamiast kropidła. Na miękkich poduszkach spoczywała główka Elżuni, w wieńcu z nieśmiertelników; w złożonych rączkach tkwił krzyżyk. Twarz zmarłej nie była zmieniona, tylko świeżość życia z bladych lic ustąpiła i oczy były lekko podsiniałe. Angela siedziała przy łóżku na niskim stołeczku, a głowę wsparłszy o główkę siostry, usnęła znużoną długiem czuwaniem. W ręce, którą otaczała siostrę, trzymała odniesioną przez Ryszarda różaniec.

Ryszard stał nieporuszony i przejęty do głębi duszy tym widokiem. Najpiękniejsza istota, jaką spotkał w życiu swoim, stała te-

raz w tak bezpośrednim zetknięciu ze śmiercią. Poważne myśli opanowały młodego człowieka, a szybkie przemijanie wszystkiego co ziemskie, żywo go uderzyło. Śmiertelne szczątki Elzuni przypomniały mu, że śmierć nieublagana kiedyś, nawet uroczej w pominięciu Angeli! Ryszard nie mógł oczu odwrócić od tej pięknej żyjącej postaci, która tak spokojnie spała obok umarłej, jakby nie znała przepaści między życiem i śmiercią istniejącej. Jedyny nieład w powierzchowności Angeli, okazywały rozpuszczone i po ramionach obficie spływające włosy.

Nareszcie młodzieniec wyrwał się z tego miejsca, z silnym postanowieniem, że dziś jeszcze powtórzy odwiedzin swoje. To też zaraz po przechadczce Klingenbergem, poszedł do Siegwarta, a wróciwszy od niego, te słowa nakreślił w dzienniku.

„Dwudziesty pierwszy Maja. Niepojęte to rzeczy! gdy mój wuj stracił swoją córeczkę, w najokropniejszą wpadł rozpacz, a ciotka kurczów dostała sercowych. Oboje szemrali przeciw Opatrzności i przeciw Bogu, który im to ukochane odebrał dziecko. A teraz, widzimy rodzinę Siegwartów w tym samym przypadku: ojciec jest przygnębiony i smutny, ale spokojny; drżące usta jego, zdradzają wprawdzie boleść, która serce ścisła, ale nie wyrzekają przeciw rządzeniom Bożym.

„Dziękuję panu, za jego współczucie, rzekł do mnie; ciężka to próba, ale Bóg wie, co robi. Pan dał, Pan wziął tę ukochaną dziecinę, niech się dzieje święta wola Jego!

„Tak mówił Siegwart, a ciężka boleść przenikająca męskie rysy jego, nosiła na sobie uroczystą cechę głębokiego pokoju ducha, kornie składającego Panu najdroższą serca ofiarę.

„Żona Siegwarta, piękna i cicha niewiasta, ten sam okazuje spokój, to samo poddanie się woli Bożej; lzy jej ciężko spadają na zboliałe macierzyńskie serce, ale chrześcijanka pociesza matkę.

„A Angela? ta już jest zgola dla mnie niepojęta; Elzunia dla niej, jak gdyby spała, lub jakby nas pożegnała na krótko, udając się tam, gdzie ją niezawodnie czeka szczęście.

„Czasem tylko, gdy boleść zadrga w jej obliczu, zwraca ku krzyżowi oczy i długo się w niego wpatruje, a widok Ukrzyżowanego cudownie ją umacnia. Ta tajemnicza siła rzeźbionego wizerunku jest dla mnie prawdziwą zagadką.”

„W ogóle, zachowanie się tych ludzi w nieśczęściu, wzbudza szczególne poszanowanie, niedające się z niczym porównać. Cóż im udziela ten spokój i tę siłę? — Byłaby to wiara? O, w takim razie, wiara byłaby czemś więcej, jak prostym pojęciem i zewnętrznym wyznaniem. Zaczynam też przeczuwać, że istnieje żywy, gorący stosunek między niebem i ziemią, dla tych co dla nieba żyją. Opatrzność nie wyłącza wprawdzie wiernych swoich z pod prawa doczesnych cierpień, ale im za to udziela siły, przechodzące ludzką naturę.

„Mojem zadaniem było zbadać charakter Angeli, i cóż z tego badania wyniosłem? Oto uwielbienie dla niej, zawstydzenie dla siebie samego; a przytem pewność, że co do mego sposobu zapatrywania się na kobiety, należy co najmniej, przypuścić wyjątki.”

Zaledwie mu te słowa wybiegły z pod pióra, gdy jakaś walka wewnętrzna wybiła się na jego twarzy, i dalej tak pisać począł:

„Nie należy nigdy rzeczy uprzedzać, nawet w spieszonych sądach. Może dla tego rodzinę Siegwartów widzę w tak korzystnym świetle, że nie znam dostatecznie tajników serca ludzkiego. Kto wie, czy ich głęboki spokój nie pochodzi z przytępieniem uczucia, lub z łatwego godzenia się z przeznaczeniem. Pod urokiem, który otacza Angelę, może się kryją wady, któreby usprawiedliwiły sąd mój o innych jej płci osobach. Dla tego, nic jeszcze ostatecznie wyrokować nie można.”

I z zamiarem jakoby silnego obstawania przy

raz powziętem przekonaniu, Ryszard wstał do pisania.

Na drugi dzień, był pogrzeb Elzuni; poszedł więc wraz z drugimi za trumną niesioną przez dziewczynki białą ubraną, uwiecznioną świeżymi kwiatami. Za orszakiem pogrzebowym szła cała wiejska gromada, co było dowodem przywiązania tych ludzi do właściciela Saliniec. Gdy ciało spuszczano do grobu, ptaszki świergotały w powietrzu, a chór dzieci niewinnych głosem odśpiewał hymny. Ryszard był w podziwieniu, nie pojmując, jak się zgadzają pieśni dziękczynne i stroje świąteczne dziewczątek z tym otwartym grobem. W jego mniemaniu, musiało to boleśnie razić rodzinę zmarłej. Nakoniec mogiłę usypiano, krzyż na niej zatknęto; małe towarzyski Elzuni, ubrały go w kwiaty, ludzie się rozszepali po cmentarzu, i klęcząc na grobach bliskich swoich, polecali ich dusze Bogu.

Siegwart podał rękę żonie, i uspakajając ją serdecznymi słowy, prowadził do powozu. Angela jeszcze klęczała nad grobem, zatopiona we łzach i boleści. W duszy Ryszarda głębokie odbijało się współczucie. Przystąpił do niej i podał jej rękę.

Powóz zajechał przed kościół, i wszystkie dzwony odezwały się naraz. W czasie nabożeństwa, znowu zadziwiła Ryszarda, uroczysta, ale nie pogrzebowa melodia organów; nawet ksiądz przy ołtarzu, był w białym ornatie. Po nabożeństwie, gdy wracali do domu, Ryszard siedział w powozie na przeciwko Angeli, której twarz chociaż smutna, dziwnym jakimś blaskiem nadziemskiej nadziei jaśniała. Pani Siegwart, nie mogąc tyle panować nad boleścią macierzyńskiego serca, na nowo zalała się łzami, a mąż sam z trudnością głos swój umacniając, uspakajał ją i pocieszał.

Ryszard przemysliwał nad tem, jakby myśl Angeli oderwać na chwilę od przedmiotu, który całą jej duszę pochłaniał; że zaś nie wypadało mówić o obojętnych rzeczach, wyrzcił jej swoje zdziwienie co do obrządków tego pogrzebu.

— Zkąd to pochodzi, rzekł, że smutny obrządek, z którego wracamy, wcale nie miał cechy żałobnej, właściwej innym pogrzebom? Czy to tu taki zwyczaj?

Angela spojrzała na niego z pewnym zdziwieniem.

— Na całym świecie, rzekła, nabożeństwo po śmierci małych dzieci, wyklucza wszelką żałobę.

— A czy pani nie sądzi, że to razić musi boleść pozostałych?

— O, zapewne, że ją razi! bo natura ludzka często się smuci z tego, z czego by się duch radować powinien.

Te słowa wydały się Ryszardowi dziwną zagadką.

— Muszę wyznać, że pani nie rozumiem.

— Oto widzi pan, kiedy umiera takie dzieciątko, płaczemy, że go już niema między nami. Kościół przeciwnie, cieszy się, że czysta duszyczka przybyła Niebu. Ztąd pan widzi, że stanowisko z jakiego się kościół na tę śmierć zapatruje, wyższe jest od stanowiska naturalnych uczuć; a wiara nas uczy, że kiedy nam tu serce pęka z żalu, Elzunia się cieszy szczęściem błogosławionych, i że ten czas krótkiej z nią rozłąki, słodzić nam powinien duchowy stosunek, jaki z nią mamy w obcowaniu świętych.

Gdy tych słów domawiała, oczy jej były łez pełne, ale zarazem jaśniały tą nadziemską nadzieją, którą Ryszard już przedtem raz zauważał, a teraz dopiero zrozumiał. Musiał więc przyznać w głębi ducha, że chrześcijańskie pojmowanie śmierci jest wzniosłe i pocieszające; że nie może iść w porównanie ze sposobem, w jaki się nowoczesny postęp na ten sam przedmiot zapatruje.

Powóz jechał z wolna przez cichey dziedziniec, który tak posepnie z pod sklepienia ciemnych chmur wyglądał, jakby go zaległa za-

łoba po śmierci drogiej istoty. Drób zbity w ciasną gromadkę, smutnie powieszal główki; wróble nawet i gadatliwe szpaki umilkły, a przez ciemne lip gałęzie słychać było szmer, jak gdyby pozdrowienie z innego świata.

Angela wysiadła z powozu wsparta na ramieniu Ryszarda; ojciec jej dziękował mu za współczucie, wyrażając życzenie ujrzenia go znowu wkrótce w ich rodzinnem kole.

Gdy Ryszard w tej właśnie chwili spojrzął na Angelę, zdało mu się, że w jej oczach widzi potwierdzenie tego, co ojciec dopiero powiedział. Zresztą, zaproszenie Siegwarta było zbyt bezczelne, gdyż młody człowiek czuł się tem silniej pociągnięty do Saliniec, im jaśniej przypominały Angeli przed oczyma jego się obrazowały. Przesądów swoich jednak nie chciał się pozbyć w zupełności, przypuszczając, że Angela ma ukryte wady, które kiedykolwiek rzucą cień na jej czarującą osobistość.

Prawdopodobnie, powodem tego uporu była nie tyle chęć bronienia raz przyjętej zasady, jak przecucie, że gdy młoda dziewczyna okaże mu się w całym uroku moralnej piękności, nie zdoła on się już oprzeć ogarniającej go potędze uczucia.

Tymczasem profesor powrócił ze swojej wycieczki w góry i opowiadał o tem co widział i słyszał.

— Takie wycieczki, mówił on, nieraz w sposób najmniej spodziewany rzucają światło, na różne ciemne strony historii. I tak, czytałem w starych kronikach, że ongi śpiew choralny zakonników tak był porywająco piękny, iż obecna mu cesarzowa, cały dwór jej i nawet rycerze, zalewali się łzami zachwyty. Czytając to, uśmiechałem się niedowierzająco, niby z legendy, średniowiecznym duchem natchnionej; gdyż jakże często zachwyca się muzyką Beethowena lub Mozarta, a dla tego, ani sam we łzach tonę, ani nawet widziałem, żeby to czyniła płeć słaba. Tymczasem przed dwoma dniami, błędziłem samotnie po ruinach klasztoru Hagenroth. W około mnie piętrzyły się wysokie kościelne ściany, którym niebo służyło za sklepienie. Na odłamkach muru znać było jeszcze, gdzie niegdzie, z głębokim uczuciem religijnym malowane freski; a obok tego wysokiego pojęcia sztuki, podziwiałem także doskonałość farb, które wystawione od trzech wieków na deszcze i śniegi, dotychczas stosunkową jeszcze zachowały świeżość. Nareszcie szczątki olbrzymich pilastrów i pokruszonych ozdób kościelnych zwróciły moją uwagę; a cała ta świątynia, w wzniosłej prostocie swojej i porywającej doskonałości technicznej, stanęła nagle, jakby odbudowana, przed oczyma ducha mego. Przejęty uznaniem i uwielbieniem dla chrześcijańskiej sztuki, która takie potężne tworzyła dzieła, przypomniałem sobie ustęp z owej kroniki; i zaiste, gdybym w podobnej chwili usłyszał dźwięki anielskich niby chórów w tej Bazylice, i moje oblicze pewnieby się zalało łzami. Niezawodnie bowiem te pełne wyższego namaszczenia arcydzieła ówczesnego budownictwa, zarówno wywierają wpływ niesłychany na ducha, jak muzyka i śpiew kościelny harmonijnych chórów.

— Twoje uwielbienie dla tych zakonników, jest prawdziwą osobliwością, odrzekł Ryszard. Jaki! pokrewny duchem przyjaciel Sybla, miałżeby zostać panegirystą klasztorów?

— Mój kochany! sprawiedliwość przedewszystkiem! wolno mi podziwiać zarówno chrześcijańską jak i pogańską sztukę, gdyż w jednej i w drugiej duch ludzki wielkie stworzył rzeczy.

— Co do tego, pozwól, że się nie zgodzę z tobą. Duch pogański nic wielkiego nie stworzył. Wprawdzie wspaniałe marmurowe kolumny podpieraly zlociste sklepienia pogańskich świątyń, ale na ich ołtarzach, ludzkie ofiary w strasznych mękach padały pod nożem kapłanów. Olbrzymie przestrzenie amfiteatrów były także ozdobne i wspaniałe; krocie widzów

mogły się tam napawać widokiem niewolników, rzucanych na pastwę lwom i tygrysom, lub gladiatorów, mordujących się nawzajem ku wielkiemu zadowoleniu pogan. Ale prawdziwej wielkości w pogaństwie niema, bo ją wszędzie otacza ciemnota, występki i najobrzydliwsze obrządki, które zaledwo po kilku wiekach chrześcijaństwo wytepić zdołało.

— Nie będę się sprzeczał co do tego, odrzekł Lutz, bo nie chcę sobie krytycznymi wywodami psuć uroku świeżo doznanych wrażeń; ale to przyznać muszę, że chrześcijaństwo ma obecnie w tobie gorliwego obrońcę.

— Być może, że duch chrześcijański, który panuje w jednej blisko mi znanej rodzinie, i na mnie teraz oddziałał. Tyle tam bowiem panuje szlachetności, piękna i cnoty, że niepodobna nie uznać tego—dodał Ryszard i obszernie zaczął opowiadać o rodzinie Siegwartów.

— Widzę stąd, rzekł Lutz, żeś się tym ludziom *con amore* przypatrywał; szczególnie też z tego, co się tyczy Angeli, nie nie uszło twojej uwagi. Ten anioł z Saliniec musi chyba należeć do dziewięciu chórów niebieskich, i zstąpił na tę ziemię w postaci kobiety, jedynie, aby nawrócić pewnego uporczywego nieprzyjaciela kobiet. To też radbym nad wszelki wyraz poznać tę nadprzyrodzoną istotę, jeżeli to jest rzeczą możliwą.

— Czemuzby nie? właśnie się zbliża godzina zwykłych odwiedzin moich.

— Chodźmy więc razem! odrzekł z pewnym naleganiem Lutz.

Idąc, opowiadał Ryszard o cichych cnotach Angeli, o jej miłości dla biednych, o jej głęboko religijnem usposobieniu, cechującym wszystkie czynności tej istoty, pełnej skromności i wdzięku. To wszystko wypowiedział z takim ogniem i uczuciem, że profesor słuchając, znacząco się uśmiechał.

Gdy wchodzili do bramy, Angela stała pod lipami, z ogromnym przetakiem w ręku. Koło niej, cisnął się cały zastęp owych pokoleń, które dzisiejszy postęp radykalny postawił na tak blizkim człowieczeństwa szczeblu. Z rąk Angeli złotym deszczem spadały ziarna przennie między cały zastęp najróżnorodniejszego domowego ptastwa, które, idąc za popędem zdrowej zmysłowości, chciwie się na nie rzucalo, dziobiąc i odpędzając się nawzajem. Nawet koguty, owi skrzydlaci rycerze, pomijając wszelką przyzwoitość, łakomie chwytaly ziarna, zamiast je z uprzejmem gruchaniem ofiarować płci pięknej. Kaczki, chociaż niezgrabne, szybko się przeciskały między wysokimi nogami indyczek i w oka mgnieniu porwały im zboże z przed otwartego dzioba. Rozgniewane zaś indyczki, zacięcie z niemi walczyły. Tylko duży biały jędor, gardził zaspakajaniem niższych popędów, a roztańczając z szumem ogon, z głową dumnie przegiętą, z szkarłatnym nosem nisko spuszczonej, formalnie się zalecał pięknej swojej pani.

W bliskości bramy leżały stajnie i obory, mające o podwójnej kondygnacji wrota; niższa ich część była zamknięta, a przez wyższą, otwartą, widać właśnie było czerwony łeb osadzony na ogromnym karku byka, który, uwolniony się z łańcucha, widocznie nad tem przemyślał, jakby się wydostać z niewoli, lub może nawet wyjść za bramę. Zaczął się on nieprzyjaźnie przypatrywać nowo przybyłym, a wietrzając ich i potrząsając głową, sypał iskry z zaognionej żrenicy.

— Co to za przepyszne zwierzę! rzekł Ryszard zatrzymując się przed nim. Co za czoło szerokie, co za pierś!

— Głowa jego mogłaby służyć za piękny symbol świętemu Łukasowi Ewangelście, dodał profesor z uśmiechem.

Ten żart nie spodobał się widocznie czerwonemu bykowi, gdyż gniewnie rycząc, uderzył o drzwi, które się szeroko rozwarły. I wynurzyły się zwolna z obory olbrzymie kształty zwierza, który zwiesiłszy groźnie głowę, stanął naprzeciw nieznanym mu ludzi, jak kot

na przeciw myszy. O ucieczce nie można było już myśleć, gdyż w jednym szusie napastnik mógł ich dogonić, i powaliwszy żelaznym czołem, wyrzucić rogami w górę. Profesor przypomniał sobie nagle, jak terreadory zwykli postępować w walce z bykami i ostrzegł Ryszarda:

— Gdy na ciebie uderzy, rzuć się w bok!

Ledwo tych słów domówił drżącymi usty, gdy byk zaryczał, jeszcze niżej głowę zwiesił i z całą siłą uderzył na Ryszarda. Ten wprawdzie uskoknął na bok, ale się poslizgnął na bruk i upadł. Byk tymczasem trafił w naprzeciw stojący wóz, który rozbił; rozjuszony zaś próżnym napadem zwierzę, odwróciło się zwało i spostrzegło leżącego na ziemi młodzieńca, który jednak był tyle przytomnym, iż się nieporuszył, udając nieżywego. Byk obszedł go w koło, wietrzając; ale niepewny z razu, co ma robić z tem martwym ciałem, nagle nastawił rogi, jakby mu przyszła chętka podrzucenia go w górę. Ryszard czuł się zgubionym, gdy nadeszła niespodziana pomoc.

Angela spostrzegła gości wtedy dopiero, gdy byk z rykiem na nich wypadł. Widziała więc jak Ryszard upadł i jak zwierzę się zbliżało ku niemu; to wszystko jednak bardzo krótko trwało. Parobka żadnego nie było na dziedzińcu, a zanim którego zawołaćby zdołano, Ryszard mógł dziesięć razy życie utracić. Profesor drżał jak listek osiny i nie śmiał się ruszyć; ani wołać pomocy, aby znów na siebie nie zwrócić uwagi srogiego nieprzyjaciela. Już więc widział ową straszną chwilę, kiedy byk porwie Ryszarda na rogi, gdy w tem z dziedzińca odezwał się głos Angeli. Dziki napastnik podniósł zdziwioną głowę, a gdy ujrzał zbliżającą się ku niemu z przetakiem w ręku, ową znaną sobie postać, pozdroził ją na swój sposób, pomrukując radośnie; zasady przyzwoitości posunął nawet do tego stopnia, że parę kroków na przeciw niej postąpił.

— Co to *sokół* dowodzi? zawołała Angela tonem wyrzutu; fe, brzydko, tak się obchodzić z gościami!

Sokół mruczał jak gdyby się uroczej swojej pani chciał tłumaczyć, a zwietrywszy pszenicę w przetaku z pewną niesmiałością zatopił w nim głowę. Angela wtedy poskrobała go w czoło, co go w takie wprawilo zachwycenie, że nawet jeść przestał, i stał spokojnie jak dziecko. Profesor z przerażeniem przypatrywał się tej nadobnej istocie, tak nieustraszonej w obec strasznego zwierza, a gdy ten zaczął lizać drobną rączkę, która go ujarzmiła, gotów był prawie uwierzyć w cuda.

— Tak, teraz sokół grzeczny, mówiła Angela, i pójdzie nazad, zjadł przyszedł! Niech pan się nie rusza, panie Ryszardzie! zaraz się już wszystko skończy!

I uderzywszy byka po szerokim karku, łeb mu zasłoniła przetakiem i tak doprowadziła go do stajni, którą zaraz za nim zamknęła.

Ryszard powstał.

— Czy nie jesteś skaleczony? zapytał go Lutz z troskliwością.

— Nic mi się wcale nie stało, odrzekł, i wyjąwszy chustkę z kieszeni, zaczął nią ubranie otrzepywać. Profesor podniósł mu kapelusz z ziemi, a gdy Angela od stajni wracała, Ryszard biegł ku niej, jakby chciał przed zbawczynią swoją upaść na kolana. Lecz po krótkim namyśle zatrzymał się i uśmiechnął, choć łaza w oku jego błyszczała.

— Panno Angelo, mówił niepewnym jeszcze głosem, przedstawiam pani mego przyjaciela profesora Lutz'a.

— Cieszę się z tej znajomości, odrzekła ona, ale niewiem jak panów przeprosić, żeście z winy naszego pasterza w tak wielkie popadli niebezpieczeństwo. Gdyby nie to, że ja przypadkowo byłam na dziedzińcu — o Boże! co się to stać mogło! I piękne jej oblicze, taką się pokryło bładością jakby było z najpiękniejszego karyjarskiego marmuru wykute.

Ryszard zauważył ten wyraz głębokiego

przestachu, i twarz mu nagle szczęściem zająśniała. Nie znalazł jednak ani słowa wdzięczności dla swej wybawicielki. Lutz, tem milczeniem przyjaciela oburzony, czuł się w obowiązku zbawczyni jego złożyć dziękczynienie.

— Wybawiłaś nas pani z największego niebezpieczeństwa, rzekł z uczuciem. Chciałbym był panią obydwoma rękami przytrzymać, gdyś biegła naprzeciw rozdrażnionego zwierza, ale przyznaję, że mnie przerażenie ubezładniło.

— Ja się na żadne nie narażalam niebezpieczeństwo, odrzekła Angela. Sokół mnie zna dobrze; często zawdzięcza mi łakocie. Gdy ojca w domu niema, ja obchodzę stajnie i patrę, czy parobcy zrobili co do nich należy. Ztąd też znam każde z naszych bydłał po imieniu i one mnie znają nawzajem.

Zbliżali się już ku domowi.

— Dobrze się stało, że rodzice dziś wyjechali, rzekła Angela, gdyż ojciec byłby pasterza odprawiał za takie niedbalstwo, a to jest biedny człowiek. Niech więc panowie będą łaskawie wspominać o tem przed ojcem, a ja już winnemu dam ostre napomnienie, i nie wątpię, że się na przyszłość poprawi.

Profesor ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku.

Ryszard siedział milcząc, i nie mięszał się do rozmowy, którą przyjaciel jego z wielkim prowadził ożywieniem. Gdy powracali do domu, rzekł Lutz:

— Nasze dzisiejsze wydarzenie, jest zupełnie jak wycieczka w krainę legend i cudów. Najprzód walka z bykiem; potem dziewica, stokroć piękniejsza od wszelkich zaczarowanych księżniczek, staje się pogromcą potworu. Zaiste! muszę zebrać cały mój rozum, aby się nie zakochać po uszy!

Ryszard nic nie odpowiedział.

— A ty Ryszardzie, jak mogłeś nie podziękować jej nawet! zawołał Lutz gwałtownie. Doprawdy, trudno ciebie zrozumieć!

— Niemasz skutku bez przyczyny! odrzekł Ryszard.

— Jak sobie chcesz! ale to twego postępowania nie tłumaczy. Radbym wiedzieć przyczynę, która zwalnia od wdzięczności dla takiej zbawczyni!

Ryszard się zatrzymał, spojrzawszy przyjacielowi w rozognione oblicze, poczem rzekł:

— Kiedy tak, to się dowiesz wszystkiego i osądź sam, czy moje postępowanie da się wytłumaczyć.

Zaczął mu więc opowiadać pierwsze swoje spotkanie z Angelą w górach, i głębokie wrażenie, jakie zaraz wtedy na nim wywarła; co mu o niej opowiadał ubogi starszek u krzyża, a potem Klingenberg, i jak nareszcie Angela zachwiała uprzedzenia jego względem całego rodzaju niewieściego. W końcu objaśnił profesora w jakim zamiarze odwiedza Siegwartów, i jakie dotąd zebrał spostrzeżenia.

— Dzisiejszy wypadek, rzekł w końcu, przypisywał ostateczne rozwiązanie zagadki, przekonując mnie, że Angela posiada nawet tę cnotę, którą dotychczas do rzędu ideałów zaliczałem. Gdyby w niej bowiem tlała najłżejsza iskierka próżności, czułaby się obrażoną moją niewdzięcznością i okazałaby mi to przynajmniej wyrazem swej twarzy. Tymczasem spojrzenie jej nie przestało być pogodne, a życzliwość dla mnie zawsze ujmującą. Nie obraziła się moją niewdzięcznością, bo wysoko o sobie nie trzyma; bo przy świetle doskonałości chrześcijańskiej, uważa siebie za niedoskonałą, bo jednym słowem jest prawdziwie pokorną. W bohaterskim czynie swoim nie szuka sławy, a wskaż mi choć jedną kobietę lub choć jednego mężczyznę, któryby naraził życie swoje bez wahania i bez chęci popisania się ze swoją odwagą! Tak, ja byłem niewdzięczny! w najwyższym stopniu niewdzięczny! ale chętnie się stawiam w tym niekorzystnym dla mnie świetle, aby Angelę tem silniejszą otoczył aureolą. Zresztą, dodał ciszej, muszę się już uznać za zwyciężonego, i to na całej linii spostrzeżeń moich.

— I jakież stąd wyprowadzasz wniosek? zapytał profesor.

— Taki, że godność kobieca nie przestała jaśnieć, i to nie gdzie indziej jak w obozie chrześcijańskim.

— Muszę przyznać, rzekł Lutz, że ty badania twoje popierasz praktycznym zastosowaniem, które zawstydzają nasze uczone rozumowania; a taka Angela, jak ją opisujesz, niezawodnie tylko na chrześcijańskim gruncie rozwinąć się może.

— A czy uważałeś, pytał Ryszard dalej, z jaką ona skromnością przeczyła temu, że jej groziło niebezpieczeństwo, kiedy jednak dobrze czuć musiała, że naraża życie własne, aby uratować moje; wiadomo jest bowiem, że taki zwierz rozjuszony zwykle nie poznaje nikogo.

Rozmawiając ciągle w tym przedmiocie, doszli obydwaj do Frankenhöhe.

Ryszard coraz częściej odwiedzał rodzinę Siegwartów, gdzie też był przyjmowany z wielką serdecznością, i uważany za przyjaciela domu. Duch tej rodziny rozwijał się coraz jaśniej przed jego oczyma, i coraz większym przejmował go uwielbieniem.

Jednego poobiedzia siedzieli wszyscy razem przy herbacie, gdy powóz przed dom zajechał, i wysiadł z niego assessor v. Hamm w oficjalnym czarnym stroju.

— Dowiedziawszy się o nieszczęściu, jakie państwa dotknęło, rzekł po dość chłodnym przywitaniu ze strony Siegwartów, idę za popędem serca mego, wyrażając państwu najgorętsze współczucie, z okazji śmierci tej ślicznej małej Elżuni.

Pani Siegwart oczy łzami zasłzy; Angela swoje spuściła, aby nie spotkać utkwionego w nią wzroku assessora.

— Dziękujemy panu, odrzekł gospodarz w imieniu wszystkich; ciężko nas pan Bóg dotknął, ale wiemy o tem dobrze, że nie możemy stanowić wyjątku w ogólnych prawie cierpieniach, jakie dotyczą ludzkość.

Zasiedli znowu około stolika, a przed Hammem postawiono filiżankę, do której Angela wonnej nalała herbaty. Assessor dziękował słodkimi słowy, i słodszy jeszcze uśmiechem; wreszcie rzekł w odpowiedzi do Siegwarta:

— Słusznie pan mówisz, że żaden człowiek, nie może ująć ciosów przeznaczenia, a nieuniknionym wypadkom koniecznie poddać się należy. Starożytni drżeli przed ślepym *fatum*, ale dzisiejszy postępek uczy, jak go każdy z godnością przyjąć winien.

Gdyby była bomba nagle wpadła do pokoju, i pękła wśród przyrządów herbacianych, nie byłaby wywołała takiego pomieszania, jakie sprawiły słowa assessora. Pani Siegwart spojrzała na niego wielkimi oczyma, mąż jej zaczął silnie poruszać głowę, a Angela zbladła. Hamm nie spostrzegł nawet wrażenia, jakie wywołał pogląd jego na fatalizm, lecz Ryszard patrząc na to, tajoną uczuł radość.

— My nie wierzymy w ślepy fatalizm, odrzekł wreszcie Siegwart, tylko w Opatrzność Boską, która rządzi losami naszymi.

— Więc pan sędzisz, panie Siegwart, że Opatrzność Boska, albo raczej Bóg, który jest ojcem naszym, zesłał na pana ten cios okropny?

— Tak jest niezawodnie!

— A, wybac mi pan! ale w mojem przekonaniu, zbyt pan źle sędzisz o Bogu; gdyż on, jako ojciec, nie mógłby takim nieszczęściem doświadczać najlepsze dzieci swoje.

— Najprzód nie wiem, czy się godzi zwać nieszczęściem, śmierć, która ukochanemu dziecku naszemu otworzyła niebo. Następnie, należy uważać, że nam się nie wolno targować z Bogiem, który jest panem życia i śmierci.

— Szanuję pańskie religijne przekonania, ale pozwól mi pan zrobić sobie uwagę, że najwyższa istota nie może wciąż mieć na oku drobnych wypadków ziemskich. Bóg stworzył tylko prawa natury, i te muszą iść zwykłym trybem. Pod te prawa podciągnięci jesteśmy wszyscy; tym

prawom, umierając, uległa także Elżunia. Woli Boskiej w tem niezawodnie nie było, i to jest jedyny pogląd, który w razie nieszczęścia tłumaczy nasze pojęcia o dobroci Boga.

— O nie panie! taki pogląd sprzeciwia się najzupełniej chrześcijańskiej wierze. Cóżby to był za Bóg, za ojciec, któryby się nie mieszał w nasze sprawy? W takim razie, najuboższy najemnik, pracujący w pocie czoła na wyżywienie swych dzieci, byłby lepszym ojcem od Boga.

— Więc w pańskim mniemaniu, te wszystkie nieszczęścia, które codziennie dotyczą ludzkość, są Boskiem zrządzeniem?

— Tak, ale pamiętaj pan najprzód, panie assessorze, że większa część owych nieszczęść jest zasłużoną karą za życie występne. Wstrzymaj pan tylko rozpasanie namiętności, a powstrzymasz tysiącne udręczenia u samego ich źródła. W każdym jednak razie niezawodną jest rzeczą, że się nic na świecie nie dzieje bez wyraźnej woli Bożej, lub przynajmniej bez Jego dopuszczenia.

Hamm potrząsał głową, a Ryszardowi nawet, twierdzenie Siegwarta zdawało się zbyt śmiałe.

— To pytanie jest niezawodnie bardzo wielkiej wagi dla myślącego człowieka, rzekł Ryszard. Człowiek częstokroć nie jest panem swego przeznaczenia, które się rozwija pod wpływem tysiącznych wypadków i okoliczności niezależnych od jego woli. Pojmuję, że jest coś przykrego i niepokojącego w mniemaniu, że nami rządzi traf ślepy. Przeciwnie, wiara w opiekę wszechmocnego Ojca, bez woli którego włos nam z głowy nie spadnie, bardzo pociesza ducha. Jednak na tym świecie, taka jest potęga niesprawiedliwości i tak okropne nieraz jej skutki; że tego żadnym sposobem z pojęciem o Bogu pogodzić nie mogę.

W czasie tej mowy Ryszarda, oczy Angeli w natężonym oczekiwaniu na nim spoczywały; gdy skończył, pochyliła głowę i w głęboką wpadła zadumę.

— Zapewne, że są wypadki nieszczęść, które na pozór zdają się nie zasłużone, mówił Siegwart dalej. Naprzykład, jeżeli wylewy zniszczą całą okolicę, i wszelkie owoce pracy ludzkiej—kłęska ta może być różgą sprawiedliwości Boskiej; ale przypuszczam, że między poszkodowanymi znajdowali się także bardzo zacni i poczciwi ludzie. Burza rozbija okręt, i morze pochłonie nie jedno kwitnące życie; lawiny śniegu zagrzebią całe wsie i osady; oto są wypadki, które, jak mi się zdaje, nasuwają panu pewne wątpliwości?

— Rzeczywiście, ciekawy jestem, odrzekł Hamm tryumfująco, jak pan tego rodzaju wypadki pogodzi z Ojcową dobrocią Boga?

Siegwart się uśmiechnął.

— Pozwól mi pan najprzód jedno pytanie, panie assessorze: dla czego państwo stanowi prawa?

— Ma się rozumieć, że to czyni dla utrzymania porządku.

— Spodziewałem się tej odpowiedzi, która sama z siebie wpływa; albowiem, gdyby różnego rodzaju występki nie były karane, społeczeństwo ludzkie musiałoby się rozplątać w straszny chaos. Bóg także ustanowił prawa, służące do utrzymania porządku w naturze. I tak, burze rozbijają okręta; ale gdyby burz nie było, wstrzymałby się rozwój roślinności i trujące wyziewy napełniałyby powietrze. Lawiny śniegowe niszcą kwitnące przedtem osady; ale, gdyby śnieg nie padał, wyschłyby wkrótce wszystkie źródła wód, i wszelkie żyjące stworzenia musiałoby ginąć z pragnienia. Widzicie zatem panowie, że Bóg nie może znieść porządku praw natury, bez narażenia na pewny kataklizm całego stworzonego świata.

— To nam objaśnia jedną stronę rzeczy, odrzekł Hamm, ale bynajmniej nie ich całość; bo kiedy Bóg jest wszechmocny, łatwoby mu było stawić cudowną potęgę swoją na przeciw wzbu-

rzonych żywiołów, czemuż jednakże nie czyn tego?

— Czemu? — to zdaje się łatwe do pojęcia: cud bowiem jest wyjątkiem w prawach przyrodzenia; powtarzając się zatem ciągle, zniósłby ostatecznie te prawa, a Bóg zaprowadziwszy cały ład stworzenia, ma na celu utrzymanie, a nie niszczenie jego.

— Zawszeby lepiej było, odrzekł Hamm, gdyby Bóg raz zniweczył nieprzyjazne człowiekowi siły natury; bo i tak, to wszystko co istnieje, warte jedynie aby przepaść na wieki.

— Przyjdzie i na to czas, i zniszczenie wszystko pochłonie, odparł Siegwart. Tyle mówią i piszą o szczęściu ziemskim, i o piękności rzeczy stworzonych, a to wszystko tak prędko przeminie!

— Pan wierzysz zatem w to, że kula ziemską ulegnie kiedyś zniszczeniu? zapytał Hamm.

— Wierzę, bo mnie tego uczy objawienie Boże. Pismo święte mówi wyraźnie, że przyjdzie czas, w którym nastanie nowa ziemia i nowe nastaną niebiosy. Ziemia zadrży w swoich posiadach, i gwiazdy z nieba spadać będą.

— Gwiazdy z nieba? zapytał Hamm z uśmiechem. A coby na to nasi astronomowie powiedzieli?

— Coby astronomowie na to powiedzieli, jest rzeczą zupełnie obojętną: nie oni bowiem stworzyli ciała niebieskie, i nie oni im wytknęli drogi. Zresztą, tego co jest powiedziane o spadaniu gwiazd, nie należy brać dosłownie, gdyż to może znaczyć, iż one tylko w zakresie ziemskiego widnokregu przestaną być widziane. Wtedy nastąpi kataklizm, którego pan Hamm dziś już żądać się zdaje, kończył Siegwart z uśmiechem; to jest, że nieprzyjazne człowiekowi siły przyrodzenia zniszczone zostaną, aby rządzona według nowych praw ziemia, oswobodzoną została z łez i cierni żywota, tak samo, jak przed grzechem pierworodnym.

Rozmowa stała się tak ożywioną, że i Angela mimowoli wzięła w niej udział.

— Zdaje mi się, rzekła, a na jej licu wystąpił rumieniec, zdaje mi się, że cierpienia doczesne dają się tylko pojąć i wytłumaczyć, o ile są w związku z wiecznym przeznaczeniem człowieka. Bóg, który czeka cierpliwie nawrócenia grzesznika, wybranych swoich doświadcza, aby w tych próbach, jak złoto w ogniu, oczyszczeni zostali.

— Otóż pani dopiero rozwiązałaś stanowczo pytanie, zawołał w uniesieniu assessor. O, gdyby mi danem było iść przez życie z dozą towarzyszką, któraby miała wzniesłego ducha pani, niezawodnie mógłbym zostać świętym!

Angela pomieszana, spuściła oczy w ziemię; gdy je podniosła po chwili, Ryszard uczuł, że wzrok jej najpierw na nim spoczął.

Powróciwszy więc do domu, te słowa zapisał w dzienniku swoim:

„Jej nawet z kaznodziejskim tonem do twarzy, gdyż mowa o religii i moralności płynie z jej ust, jak z obfitego i duszę jej ożywiającego źródła.”

Mimo to, nie złożył jeszcze broni przed Angelą. Odwiedzając coraz częściej rodzinę Siegwartów, dwa, czasem trzy razy na dzień, niespodzianie stawał przed Angelą, jak inkwizytor, chcący winnego na gorącym złapać uczynku. Raz gdy szedł przez podwórze, z tych samych drzwi, z których pan sokół w tak nieprzyjazny sposób wypadł był na niego, wysunął się człowiek trzymający kapelusz w rękę, i rzekł z zakłopotaną miną:

— Przepraszam pana, ale mam z nim do pomówienia. Chciałem to już od kilku dni uczynić, tylko, że pan mój, zawsze był gdzieś niedaleko. Dzisiaj kiedy jest w polu w rzepaku, to może mógłbym się z panem rozmówić?

— I o cóż wam to chodzi?

— Oto ja jestem ten pasterz, który o mało co nieszczęścia na pana nie sprowadził; chociaż Bogiem a prawdą, do dzisiaj dnia nie wiem, jak się sokół mógł sam spuścić z takiego silnego łańcucha.

— Dobrze już dobrze, mój przyjacielu, wie-  
żeć żęście temu nie winni.

— Nie winien jestem, doprawdy, bo tylko ta  
mądra bestya wiedzieć może, jakim się sposo-  
bem z tak silnego łańcucha uwolniła; ale słusz-  
nie mówi panna Angela, że powinienem był  
lepiej pilnować otwartych drzwi, i dlatego pro-  
szę pana o przebaczenie, a drugi raz już się pe-  
wno nie dopuszczę podobnego niedbalstwa.

— No, kto obiecuje poprawę, temu i wyba-  
czyć należy, rzekł Ryszard z uśmiechem, a cała  
jego uwaga zwróconą już była ku ogrodowi,  
gdzie spostrzegł Angelę przysłuchującą się  
z za krzaku róż jego rozmowie z pasterzem,  
którego sama do przeprosin nakłoniła. Po chwili  
ukazała się z koszykiem jarzyn na ręku; jedno-  
cześnie wjeżdżał na dziedziniec wóz wysoko na-  
ładowany rzepakami.

— Zajęcie pani rozciąga się i do ogrodu,  
panno Angelo? zapytał Ryszard. Niema więc  
żadnej gałęzi gospodarskiej, w którejby pani  
nie brała udziału.

— Tak się to panu zdaje, a jednakże czyn-  
ność moja w ogóle jest wcale nic nie znacząca,  
odrzekła Angela.

— Z próbek tej ogrodowizny widzę wszak-  
że, że pani i z tym przedmiotem dokładnie jest  
obeznana. Jakież to olbrzymie i delikatne strączki  
fasoli!

Po raz pierwszy dostrzegł Ryszard na obli-  
czu Angeli, coś naksztalt zadowolonego uczucia  
próżności, i ten cień w jej promiennej postaci  
zaznaczył sobie w pamięci, chociaż miał się  
on wkrótce w jego oczach zamienić w światło.

— Tę delikatną i wyborną w smaku fasolkę,  
mój ojciec zaprowadził w tych stronach; a że  
ją sam bardzo lubi w sałacie, cieszę się, że mu  
ją w tym roku o cały tydzień wcześniej na stół  
podać mogę. Ale otóż i on, dodała, żeby tylko  
nie zobaczył jaką mu gotuję niespodziankę! i  
prędko w koszyku ukryła olbrzymie strączki.

Więc tencień mniemany nie pochodził bynaj-  
mniej z uczucia próżności, ale z przywiązania  
do ojca i chęci zrobienia mu miłej niespod-  
zianki.

Wysoko naładowany wóz zatrzymał się w  
dziedziniecu. Parobcy otworzyli szerokie wrota  
stodoły i znać było pospieszne usiłowania za-  
bezpieczenia tak kosztownego ziarna.

Siegwart do gościa wyciągnął przyjaźnie  
rękę.

— Oto jest pierwsze tegoroczne błogosławień-  
stwo Boże, rzekł do niego. Rzepak ten ślicznie  
się udał!

Weszli do domu, gdzie im podano chłodzą-  
cy napój. Wkrótce i parobcy zaczęli pospieszać  
ku czeladnej izbie, zkaąd się odzywał głos An-  
geli, dającej rozporządzenia dziewczkom rozno-  
szącym chleb, ser i dzbanki z piwem.

— Panie sąsiedzie, rzekł Siegwart, zapraszam  
pana na uroczystość domową, która się ma u  
nas odbyć jutro po obiedzie, o godzinie czwartej.

Zaproszenie, ma się rozumieć, zostało mile  
przyjętém.

— Niewiem wprawdzie, czy się pan zabawisz,  
ale w każdym razie, będzie to nowość dla pana.

Zaproszenie to zaciekało niezmiernie Ry-  
szarda; nie mógł sobie bowiem wytłómaczyć,  
co to będzie za rodzaj zabawy. Godziną zatem  
przed wyznaczonym czasem, opuścił Frankenhöhe,  
uwolniwszy się wprzód od zwykłej z Klingenbergiem  
przechadzki. Szedł lasem, zbaczając z drogi,  
gdyż wiedział, że o tej godzinie cała rodzina  
Siegwartów jest w kościele na nie-  
szporach. Święte cisza zalegała wioskę, na  
polach kłosa już żółknąć poczynały. Ryszard  
właśnie już był blisko Salinieca, gdy ludzie z ko-  
ścioła poczeli wychodzić. Najprzód ukazała mu  
się pani Siegwart, dziećmi otoczona. Henryk, silny  
siedemnastoletni młodzieniec, przyszyły wła-  
ściciel wioski, był całkiem do ojca podobny.

Idąc drogą, przypatrywał się z zajęciem dojrze-  
wającemu zbożu, a zerwawszy kłosek żółciej-  
szy od innych, rozcierał go w rękę, aby się  
przekonać o pełności ziarna. Angela szła przy  
boku matki, a gdy przypadkiem podniosła

oczy, dostrzegła od razu stojącego pod dębem  
Ryszarda. Opodal szedł Siegwart ze starsze-  
mi wioski, a za nimi szła czeladź; parobcy  
po jednej, dziewczki po drugiej stronie. Ten  
rozdział musiał być skutkiem ścisłego rozkazu,  
gdyż go już Ryszard nie pierwszy raz dostrze-  
gał, przypisując to nawet pewnej ciasnocie  
wyobrażeń. Ale w sprzeczności z tym jego są-  
dem stawały spostrzeżenia czynione na służą-  
cych Siegwarta, których pracowitość i przy-  
zwoite zachowanie nieraz miał sposobność za-  
uważyć. Nigdy między nimi nie było prze-  
klenia ani wybuchów namiętności; każdy  
pilnował swojej pracy i wykonywał ją z pil-  
nością i właściwym rozeznanie. Ten porzą-  
dek nieraz już Ryszard podziwiał, zwłaszcza,  
gdy go miał sposobność porównać z niesfor-  
nością i duchem niepokojem panującym u ogó-  
łu tegoczesnych sług. Musiał więc Siegwart  
posiadać tajemnicę utrzymania tak licznej czel-  
adzi w porządku i harmonii, i dla tego, to roz-  
graniczenie obu płci przestał Ryszard uważać  
za skutek ciasnoty pojęć.

Ryszard stał jeszcze chwilę pod cieniem dę-  
bu, nareszcie spojrział na zegarek, i najkrótszą  
drogą pośpieszył do dworu, gdzie był już oc-  
zekiwany. Siegwart wprowadził go zaraz  
do obszernej izby, w której urządzony był ot-  
tarz; na ścianach, wisiały same obrazy religij-  
nej treści, przy boocznej ścianie stały małe or-  
ganki, a na środku pulpit z otwartą księgą.  
Po prawej stronie siedzieli parobcy, po lewej  
dziewki, a rodzina Siegwartów pośrodku nich.  
Gdy wszedł Ryszard, uśmiechnął się zrazu na  
ten nowy rodzaj zabawy, poczem nastąpiły  
wzajemne pozdrowienia. Angela usiadła przy  
pulpicie i zaczęła czytać życie świętej słuź-  
bnicy Zitty.

Trzeba przyznać, że Angela czytała po mi-  
strzowsku. Głos jej brzmiał wdzięcznie i przy-  
kuwał słuchaczy, gdy z całą siłą uwydatniała  
niektóre miejsca, jakby w toku żywego opowia-  
dania. Wszyscy też słuchali z natężoną uwagą,  
dziwiąc się cichym cnotom tej pokornej a na  
tak ciężkie próby wystawionej słuźbnicy. Nie  
jeden z czeladzi, w obec takiego wzoru, uczuł  
życie własne niedostatkami swojemi; a gdy Angela  
księgę zamknęła, mógł Ryszard zauważyć głę-  
bokie wrażenie, malujące się na wszystkich twa-  
rzach. Zwolna, zgromadzeni to miejsce opu-  
szczali z wyrazem najwyższego zbudowania.

Doszedłem więc, pomyślał sobie Ryszard, je-  
dnego z tych tajemniczych sposobów, któremi  
Siegwart tak umie działać na ludzi swoich.

— Teraz przychodzi druga część zabawy,  
rzekł pan domu, biorąc pod rękę Ryszarda,  
pójdźmy zatem do ogrodu.

Pod lipami stał długi stół zastawiony, a w  
koło siedzieli parobcy. Ryszard zauważał prze-  
chodząc, że życie świętej Zitty stanowiło dla  
nich treść bardzo ożywionej rozmowy.

Altana z dzikiego wina przygotowana dla  
gości, przyjęła ich miłym chłodem i balsamicz-  
ną wonią swego kwicia, które tysiącem dro-  
bniutki gwiazdeczek odznaczało się na du-  
żych zębanych liściach. Młode szczygielki, świe-  
żo wybiegłe z gniazdka, kołysały się na delika-  
tnych gałązkach pnącego krzewu, lecz wystra-  
szone nagle krokami nadchodzących zerwały  
się i ukryły w klombach róż. Tam dopiero  
świergotaniem swoim wabiły rodzicielską par-  
kę, która pochwycawszy w przelocie muszkę,  
lub jakiego robaczka, niosła ją w dzióbku zgło-  
dniałym piskłotem.

Za to szpaki egoisty, objadały na swój rachun-  
ek rumiane jagody wisien, zawieszane na ugi-  
nających się pod niemi gałęziach. Inna gromadka  
tych ptaków, skacząc po rabatach, kaleczyła  
ostrym dzióbkiem ogromne ananasowe truskawki.  
Jeden szpaś nawet, osmielił się na nakry-  
ty stół wskoczyć i tam dopiero dziobał, kosztował  
i widocznie podziwiał nieznanemu dotąd  
potrawę. Teraz przed gośćmi uciekł pospiesznie,  
ale gwiazdeczki winnego kwicia pozostały, roz-  
lewając woń balsamiczną. Angela, sama jako  
wonny kwiatek, zbliżyła się podając rękę matce.

— Czy to u pana co niedziela, odbywa się ta-  
kie budujące czytanie? zapytał Ryszard.

— Tak, co niedziela jak najregularniej, odr-  
zekł pan domu. Jest to bardzo dawny zwyczaj  
w mojej rodzinie, i ja się go trzymam, bo widzę  
jak zbawienne z tego wypływają skutki. Dla  
czeladzi nie jest to żaden przymus, bo po nie-  
szporach mają czas wolny i mogą go użyć, jak  
im się podoba; rzadką jest jednak rzeczą, aby  
który z nich nie przyszedł, bo w tym czytaniu  
wielkie mają upodobanie, jakto pan mogłeś za-  
uważyć.

— Uważałem to rzeczywiście, odrzekł Ry-  
szard, ale też panna Angela z takim czyta u-  
czuciem, że trzeba być głuchym, aby jej nie  
słuchać z największym zajęciem.

Angela na tę pochwałę uśmiechnęła się i za-  
rumieniła jednocześnie.

— Obowiązek czuwania nad służącymi jest  
ważną i świętą rzeczą, mówiła pani Siegwart. Są  
tacy, którzy się obchodzą ze sługami, jak się u  
pogan z niewolnikami obchodzono, a raz wy-  
placiwszy im za usługi, o resztę nie dbają; i nie  
wiedzą nawet, czy ich moralne potrzeby są za-  
spokojone, czy wrodzone popędy wyższymi  
względami są oczyszczane, i w właściwych kar-  
bach utrzymane. To jest ciężka wina panów, po-  
ciągająca za sobą nieobliczone złe skutki.

— Zgadza się z panią najzupełniej, odrzekł  
Ryszard, bo jeżeli na dzisiejsze usługi, tak czę-  
sto zasłużone powstają skargi, wielką w tym  
część winy przypisać należy panom. Co się ty-  
czy sług Salinieckich, już nieraz uważałem,  
ich wzorowe zachowanie się i sądziłem, że pan  
Siegwart różeczką czarodziejską wszystko wedle  
swej woli kierować umie. Dziś wszakże za-  
czynam poznawać, jaki to jest rodzaj tej różeczki.

— Ojcie, odezwał się Henryk, który mało  
mówił, ale młodzieńczy apetyt zaspakał żwa-  
wo, czy mogę teraz wyjechać konno?

— Możesz, ale nie dłużej jak na godzinę, bo  
wiesz, że na czas zakładania bydłu paszy, mus-  
szisz być z powrotem.

Młodzieniec powstał, i skłoniwszy się wybiegł  
z ogrodu.

Pozostali, chwilę jeszcze bawili się poufną  
rozmową. Parobcy pod lipami śpiewali teraz  
pieśni ludowe, dziewczki siedząc w kuchni chwa-  
liły świętą Zittę; gdy w tem ukazała się w alta-  
nie kucharka i oświadczyła, że pan Hamm przy-  
jechał i chce z panem i z panią w ważnym po-  
mówić interesie.

— Czego on może żądać? zapytał Siegwart  
z niechęcią. Wybacz mi panie Ryszardzie, że  
się oddalić muszę, ale w każdym razie, to nie  
potrwa długo, a Angela niech pana tymczasem  
zabawia.

Angela się uśmiechnęła, i spojrziała z kole-  
i na odchodzących rodziców i na Ryszarda.

— Polecono mi żeby pana zatrzymać, rzekła  
figlarnie, jakże ja się mam wziąć do tego?

— Rzecz bardzo prosta, odrzekł Ryszard; pa-  
ni, która umiała pogromić rozdrażnionego by-  
ka, nad słabym człowiekiem łatwo zapanować  
potrafisz.

— Pan mnie masz za pogromcę byków, a to  
przecież rzecz osobliwa nawet w Hiszpanii, gdzie  
te stworzenia, jak się pokazuje, nie są tak cywi-  
lizowane jak tutaj.

Angela dobyła robótkę z koszyczka.

— Jaktó! pani dziś, przy niedzieli pracuje?

— Tak panie, i nie będę w sprzeczności z ko-  
ściołem, twierdząc, że próżnowanie jest szkodli-  
wsze niż praca poświęcona ubogim, po skoń-  
czonym nabożeństwie.

— Słyszałem ja już nieraz o tym duchu do-  
broczynności, z którego pani słynie na całą oko-  
licę, rzekł Ryszard, śledząc wrażenia słów swo-  
ich na twarzy Angeli.

— Nie trzeba przesadzać bardzo drobnych  
zasług moich, odpowiedziała z wesołą prostotą;  
ja ubogim więcej jestem winna, niż oni mnie:  
gdyż dawać, to szczęście, a przyjmować, smu-  
tna bardzo konieczność!

— Ale czyż każdy tak myśli jak pani?

— Każdy, co może dawać, nie odmawiając sobie przy tem nic, lub bardzo mało.

Te prośbowa, dostatecznie dały poznać Ryszardowi, że Angela nie dla oka ludzkiego, ale z potrzeby serca miłosiernym poświęcała się uczynom. Spojrzał więc na piękną dziewczę, która pilnie kończyła półroczną, i zapytał znowu:

— Czy pani i teraz codziennie chodzi na górę, zdobić kwiatami obraz Matki Boskiej?

— Nie, teraz już nie; czyniłam to tylko przez cały maj, który jest miesiącem Jej czci poświęconym.

— Więc pani sądzi, panno Angelo, że strojąc obrazy świętych, zjednywamy sobie w ten sposób ich opiekę?

— Sądzę owszem, że takie ich zdobienie byłoby czezą zabawką, gdyby duch nasz nie był zgodnym z duchem świętych. Rzeczywista ich cześć bowiem zależy na tem, ażeby naśladować enoty, które oni wykonywali, a najwyższym i najjaśniejszym ich wzorem, jest zawsze Marya.

Frank na te słowa, popadł w głębokie zamyślenie; gdy w tem Siegwart, cały wzburzony, z błyszczącymi od niechęci oczyma, wielkim krokiem zbliżył się do altany i nalawszy sobie szklanek wina, wypił ją od razu. Ryszard spostrzegł jak ojciec Angeli pasował się sam z sobą, ażeby nie wybuchnąć gniewem; zapytał go więc nieśmiało:

— Czy pan Hamm już odjechał?

— Tak jest! odjechał! Ale, Angelo! matka chce z tobą pomówić.

— A teraz zgadnij pan, czego assesor chciał odemnie! rzekł Siegwart, gdy córka jego opuściła altanę. Oto po prostu, żądał ręki Angeli! i to jeszcze w jaki zuchwały sposób! Dowodził mi, że to dla nas wieśniaków wielki zaszczyt, jeżeli taki pan jak on, oświadcza się o rękę naszej córki.

— Widać, że pan v. Hamm wysoko ceni swoją osobistość! odrzekł sucho Ryszard, nie tając oburzenia.

— Co temu człowiekowi w głowie, żeby się chciał żenić z moją córką! ona i on—czy mogą być dwie sprzecznější natury!

— Zapewne mu to pan powiedziałeś? pytał Ryszard.

— Ma się rozumieć! Wykazałem mu to jasno, jak na dłoni, dowodząc, że tylko wspólność pojęć religijnych, może zapewnić szczęście w małżeńskim pożyciu; że zatem pobożność Angeli co dzień go w oczy kłua, ja zaś bolałoby nieustannie jego postępowe przekonania. Żąd wprowadziłem wnioski, że mi się nie godzi, ani jego ani jej na całe życie unieszczęśliwiać; w skutku czego, zerwał się gniewny i odjechał.

— Ach! jak pan dobrze i właściwie postąpiłeś! rzekł Ryszard z zapalem; i ja w to wierzę głęboko, że tylko zgodność przekonań w najważniejszych kwestiach żywotnych, szczęście małżeńskie zapewnić może.

Gdy Ryszard do domu powrócił, zapisał w dzienniku następujące słowa:

„Czwarty Czerwca. To, o czem tylko w krainie ideałów marzyłem, urzeczywistniło się w osobie Angeli. Moje odwiedziny w tej rodzinie zostają zatem nadal bez celu, a w interesie mojej własnej spokojności zaprzestać ich muszę: gdyż mi się nie godzi myśleć o szczęściu, na które nie zasługuję. Brak jednakże tego szczęścia, które dotąd miałem za niemożliwe, boleśnie da mi się uczuć w dalszem życiu; ale niech to będzie karą za zuchwalstwo, z jakim się chciałem wdrzeć w tajniki duszy Salmieckiego anioła.”

Położywszy pióro, zaslonił sobie Ryszard twarz obu rękami, i tak siedział czas jakiś, dumając. Gdy podniósł głowę, był marmurowo błydy, a w męzkim jego oku lza błyszczała.

(d. n.)

## KRONIKA RUCHU NAUKOWEGO.

(Dalszy ciąg).

Widzieliśmy poprzednio, jak stowarzyszenie W. Brytańskie, uczyniło zadosyć pierwszej czę-

ści swego zadania, odnośnie do postępu wiedzy; obaczmy teraz jak usiłuje spotęgować swą działalność, pod względem krzewienia nauki. W tym celu, od początku istnienia, Towarzystwo zobowiązywało zwykle członków, zajmujących najwybitniejsze stanowiska w jakiej gałęzi nauk, do składania raportów o swych działalnościach. Podobne sprawozdania, zapoznając publiczność z rzeczywistym stanem nauki, w danej chwili, prawdziwie oddają usługi; a i w późniejszych czasach nie są bez wartości, bo oddając obraz streszczony teorii, panujących w pewnym czasie, gromadzą materiały do historii nauk. Obecnie jednak, wyżej wspomniane raporta nie wystarczają, i coraz więcej w angielskiej literaturze naukowej daje się czuć brak corocznych sprawozdań o pracach i postępach, dokonanych w ciągu ubiegłego roku. Aby zaradzić tej potrzebie, rozpowszechniają od kilku lat tłumaczenia podobnych niemieckich czasopism; tłumaczenie jednak rozchodzi się późno, i nie może być wykonane, jak w kilka miesięcy po ogłoszeniu niemieckiego oryginału. Towarzystwo uznając, że dwa niezależne od siebie czasopisma, niemieckie i angielskie, choćby tylko przez swe różnice, mogłyby daleko dokładniej przedstawiać postęp nauk, jak jedno dzieło, nawet jednocześnie ogłoszone, w języku niemieckim i angielskim; a z drugiej strony widząc trudności podobnego przedsięwzięcia, ze znacznymi połączonymi wydatkami: uznaje za rzecz użyteczną, wejść w układy z odpowiedniami osobistościami, i zaofiarować swą pomoc, do wydawania czasopisma sprawozdawczego.

Po załatwieniu wyżej wymienionych wniosków, prof. Thompson przedstawił sprawozdanie o obecnym stanie analizy widmowej i nowych zastosowaniach tej metody badania, z którą mamy zamiar wkrótce zaznajomić czytelników. Pierwsze podwaliny analizy widmowej rzucił sławny filozof angielski Newton. Już wówczas, rozłożywszy światło za pomocą pryzmy, zaliczył swe odkrycie do najważniejszych i najdziwniejszych zjawisk przyrody. Zajęty jednak rozmaitemi badaniami, Newton nie wyciągnął wszystkich możebnych następstw swego odkrycia, tak, że udoskonalenie i zastosowanie jego wynalazku stało się dopiero udziałem XIX wieku. — Następnie prace Fraunhofera, Wollastona, Brewster'a, Talbota, Herschela, Stokes'a i Foucault'a, dostarczyły nowych materiałów do głębszego zbadania, zajmującego nas przedmiot. Dopiero jednak fizyk niemiecki Kirchhoff rozwinął tę nową naukę, a wykazawszy jej ważność i szerokie zastosowanie, połączył nazawsze swe nazwisko z jedną z najgenialniejszych zdobyczy ducha ludzkiego. Główniejsze zasady nauki Kirchhoffa polegają na następujących faktach: jeżeli przepuścimy przez pryzmę, światło pochodzące z rozżarzonego do białości drutu platynowego, otrzymamy widmo, bez żadnych przerw, zawierające promienie wszystkich barw, od skrajnego czerwonego do skrajnego fioletowego. Przeciwnie, rzecz się zmienia, jeżeli przepuszczamy przez pryzmę światło pochodzące z rozżarzonej pary lub gazu; wówczas bowiem widmo złożone będzie z pewnej liczby jasnych, linii, równoległych do krawędzi pryzmy, poprzedzielanych ciemnymi przestworami. Kirchhoff wykazał, że przy pewnej oznaczonej temperaturze, widmo każdego ciała, zależy głównie od jego natury, jest więc dla każdego ciała charakterystycznym. Z powodu jednak szczególności, jakie przedstawiają widma gazów i par rozżarzonych, najłatwiej dają się uchwycić różnice w widmach ciał wtedy, jeżeli ciała te są gazami lub też znajdują się w stanie pary. Na tej właśnie różnicy, jaka zachodzi pomiędzy widmami rozmaitych ciał, w stanie gazu lub pary będących, polega analiza widmowa. Za pomocą szeregu doświadczeń, oznaczono widma różnych ciał w stanie pary będących. Skoro więc nieznanego nam składu ciała, wprowadzone w stan rozżarzonej pary, badać będziemy za pomocą spektroskopu: wtedy z porównania jego widma, z widmami poprzednio już znanymi,

72  
i otrzymanymi w tych samych okolicznościach, będziemy mogli wnioskować o pierwiastkach w skład ciała badanego wchodzących. Jeżeli np. do lampki Bunzena wprowadzimy nieco chloru sodu (zwyczajnej soli kuchennej), wtedy bezbarwny płomień lampki, zamienia się na żółty; a badając za pomocą spektroskopu widmo płomienia, przekonamy się, że składa się z jednej linii żółtej, która zawsze, skoro tylko w płomieniu znajduje się jakakolwiek sól sodu, to samo zajmuje miejsce. Odczyn ten tak jest delikatny, że  $\frac{1}{4000000}$  część grama soli kuchennej, już w widmie wywołuje linię żółtą. Podobne odczyny, wynaleziono i dla innych metali; a badacze uderzeni ważnością nowej metody analitycznej, zajęli się natychmiast jej zastosowaniem na obszernej skale. Za jej to pomocą, chemicy podkrywali nowe metale, jak: cexium, rubidium, talium, indium; fizjologowie zastawali ją do chemii roślinnej i zwierzęcej, oraz do badań sądowo-lekarskich; lecz szczególnie w astronomii analiza widmowa do nadzwyczajnych doprowadziła rezultatów, tak, że śmiało utrzymywać można, że metoda analityczna Kirchhoffa, stanowić będzie epokę w dziejach tej nauki. Chemik i astronom, połączywszy swe siły, poddali analizie widmowej słońce i znajdujące się na niem plamy, księżyc, planety, komety, zorze północne, gwiazdy, a osiągnięte przez dziesięcioletnie prace rezultaty upoważniają do najśmielszych nadziei. Przy pomocy rozbioru widmowego, możemy obecnie wprost badać prawa istnienia planet, a nawet wnioskować o historii ich rozwoju.

Do ostatnich zwycięstw analizy widmowej, zaliczyć musimy zastosowanie, przez Huggins'a i Maxwell'a, spektroskopu do obliczania szybkości obiegu gwiazd. Oddawna już wiadano, że kolor jakiej gwiazdy, może zależeć od jej ruchów, w stosunku do obserwującego ją badacza; tak np. wydaje się ona czerwona, jeżeli się oddala od ziemi, a niebieską, jeżeli się zbliża do naszej planety. Korzystając z tej obserwacji, możemy przy pomocy spektroskopu wymierzyć względną prędkość, z jaką gwiazda zbliża się do ziemi, lub się od niej oddala. Zasada metody badania polega głównie na oznaczeniu tożsamości jednej lub więcej linii w widmie gwiazdy, z jedną lub więcej liniami w widmie sodu lub innego jakiego ciała; następnie obserwując jednocześnie, przy pomocy jednego spektroskopu, gwiazdę i światło sztuczne, należy odczytać różnicę między stopniami załamania się światła; stosunek zaś między periodami dwóch światel, służy za zasadę do dalszych obliczeń. Przy pierwszym zastosowaniu tej metody, przez pp. Miller'a i Huggins'a, przekonano się: że żadna z większych gwiazd naszego horyzontu, nie zbliża się do ziemi, ani się od niej oddala, z większą szybkością, jak 315 kilometrów na sekundę. Później Huggins, ześrodkowawszy swą działalność do jednej gwiazdy, zwanej Syrius, obliczył z wszelką dokładnością, że gwiazda ta, oddala się od ziemi, z szybkością 66 kilometrów na sekundę. Nadzwyczaj drobna różnica, jaką mamy wymierzyć i niewielka ilość światła, nawet jeżeli poddamy naszemu badaniu jedną z gwiazd najwyższemu odznaczającą się światłem, utrudniają obserwację, a tem samem zmuszają, przy badaniach tego rodzaju, do naprężonej działalności. Nie mniej jednak po pracach p. Huggins, możemy się z pewnością spodziewać, że uda nam się dokładnie wymierzyć szybkość wielu innych gwiazd; tak, że przy środkach naukowych, jakie obecnie posiadamy, przy zwiększonej tylko liczbie dostrzegalnych astronomicznych, osiągniemy nadzwyczaj ważne rezultaty, pod względem dynamiki kosmicznej.

Podobnie, dzięki, po części przynajmniej, analizie widmowej, wiadomości nasze o kometach uległy także znakomitemu udoskonaleniu. Obecnie możemy prawie z zupełną pewnością utrzymywać, że ciała te są grupami meteorów; na tej zasadzie podano też zadawalniające objaśnienia o świetle jądra, oraz racjonalne wytłumaczenie zjawisk, jakie nam przedstawiają ogony komet,

a które najznakomitsi astronomowie poprzednio prawie do cudów zaliczali.

Hypoteza meteoryczna komet, o jakiej wyżej wspomnieliśmy, do roku 1866 nie przechodziła po za granicę czystej hipotezy. W tym dopiero czasie Schiaparelli, obliczywszy według obserwacji nad meteorami z miesiąca Sierpnia orbitę tych ciał, znalazł, że zupełnie odpowiada orbicie wielkiej komety, obliczonej w roku 1862 przez Oppolzera; i tym sposobem położył fundamenta do dowodzeń, że kometa składa się właśnie z grupy meteorów. Następnie Tait, poświęcił swą pracę bliższemu rozjaśnieniu tego interesującego przedmiotu, i przyszedł do przekonania: że kometa jest tylko grupą meteorów, o jądrze świecącym się, z powodu wzajemnego o siebie tarcia ciał jądro składających; ogon zaś składa się z części najmniej skupionej seryi meteorów. Części ogona, oświetlonej przez słońce, stają się widzialnymi lub niewidzialnymi, stosownie do tego, czy są mniej lub więcej liczne, mniej lub więcej oddalone i oświetlone, a także stosownie do porządku wzajemnego ułożenia grupy meteorów. Wyżej przytoczone zdanie Schiaparelli i Taita o meteorologicznej naturze komet, potwierdzone zostało przez badania pp. Adams i Peters. Uczni ci, obliczywszy bieg komety Tempła z 1866, dowiedli: że składa się ona z seryi małych planet, z których corok, około 14 Listopada, kiedy nasza planeta przecina ich drogę, spada do nas znaczna ilość, wynosząca od kilku tysięcy do kilku milionów. Amerykański astronom p. Newton, przeglądając zbiory dawnych spostrzeżeń astronomicznych, przekonał się: że od 902 r. ery chrześcijańskiej, co 33 lat, miesiąc Listopad odznacza się nadzwyczajną obfitością meteorów. Nie ulega wątpliwości, jak to widzimy z zebranych zdań i spostrzeżeń astronomów, że od 13 Listopada 902 roku, aż po rok 1866, ziemia przecięła 13 razy komety, bez żadnej dla nas szkody; i że przepowiednie mogących z takiego spotkania wynikać katastrof, o jakich tak głośno w Listopadzie przeszłego roku rozprawiano, nie mają naukowej zasady.

Po kilkoniowej pracy w septykach, gdzie przedstawiono, znaczną ilość specjalnych rozpraw wysokiej wartości, odnoszących się do wszystkich gałęzi nauk przyrodzonych, Stowarzyszenie Wielko-Brytańskie zamknęło zjazd Edyńburski rozdaniem nagród, w ogólnej cyfrze 1620 funt. szterlingów (około 10,000 rs.)

(d. c. n.)

## WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE

### o literaturze Kopernikowej.

Pierwsze wydanie dzieł Kopernika, poświęcone przez autora papieżowi Pawłowi III pojawiło się w Norymberdze w r. 1543 pod tytułem: „*Nicolai Copernici Torunensis de Revolutionibus Orbium Caelestium libri VI*”, w drukarni Joachima Petreja.

Z pomiędzy dzieł, rozpraw i artykułów poświęconych Kopernikowi, a napisanych bądź po polsku bądź w innych językach, ale przez autorów polaków, na pierwszym miejscu pomieścić wypada: Album Kopernika, wydane z powodu obecnego obchodu jubileuszowego w Poznaniu, które do tej chwili nie nadeszło jeszcze do Warszawy, sprawozdanie więc o niem zostawiamy na później. Przemilczymy zarówno o nieprzyjanych dla nas wystąpieniach z powodu uroczystości Kopernikowej niektórych autorów niemieckich (Sybel'a, Prowego i innych), jak również i o pełnych życzliwości uznania polskiego pochodzenia Kopernika jakie napotkaliśmy w jednym z artykułów gazety petersburskiej „Gołos“.

Wyliczmy teraz z kolei dzieła i rozprawy autorów naszych odnoszące się do Kopernika poczynając od najdawniejszych:

Starowolski Szymon w dziele pod tytułem: *Elogia ac vitae centum Poloniae scriptorum, Venetiis, 1627*, 4-to. na stronkach: 158 i 159 zamieścił artykuł „*Nicolaus Copernicus*“. Niewydana biografja Kopernika, napisana przez kanonika Siemieńskiego, prawdopodobnie około roku 1723, ma się znaj-

dować w bibliotece klasztoru Jasnogórskiego w Częstochowie.

Jan Śniadecki napisał rozprawę noszącą tytuł: „*O Koperniku. Rozwiązanie zadania które Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk do odpowiedzi ogłosiło*“, drukowaną najprzód w Rocznikach rzeczonoego towarzystwa, w roku 1803, później w Wilnie w roku 1818, a po raz trzeci w Warszawie w roku 1837, w drugim tomie dzieła Śniadeckiego „*Pisma rozmaite*“, wydanem przez Michała Balińskiego. Rozprawa ta ukazała się następnie w dwóch tłumaczeniach francuskich, z których jedno dokonaniem zostało przez Tęgoborskiego, a drugie przez samego autora (w Warszawie i w Paryżu). Z francuskiego przełożona na angielski przez Justyną Brennan, ogłoszona została drukiem w Dublinie w roku 1823. Tłumaczenia tejsze rozprawy na język włoski dokonał doktor Bernard Zaydler, i wydał takowe we Florencji w roku 1830. Wreszcie rozprawa Śniadeckiego doczekała się także tłumaczenia, czyli raczej plagjatu niemieckiego. Tłumacz bowiem, prof. Ideler, wydał ją pod własnym nazwiskiem w roku 1811 i ofiarował towarzystwu filomatycznemu w Berlinie, nie wspominawszy ani słowa o jej rzeczywistym autorze.

W rocznikach Towarzystwa Naukowego Krakowskiego za rok 1841. znajduje się rozprawa Karola Hube: „*O zasługach Kopernika w Astronomii, rzecz czytana na posiedzeniu publicznem Tow. Nauk. Krakowskiego dnia 14 lutego 1834 r.*”

W Bibliotece Warszawskiej, za rok 1841 znajdujemy artykuł Adryana Krzyżanowskiego: „*O rodzinach społecznych i zażyłych w Krakowie z Kopernikami*“. Tenże sam autor ogłosił w Jordana: *Jahrbücher für slavische Literatur, Kunst und Wissenschaft* za rok 1843 pracę pod tytułem: „*Kopernik gehört nicht in die Walhalla*“ z powodu pomieszczenia popiersia naszego znakomitego rodaka do słynnego bawarskiego muzeum „*Walhalla*“, pomiędzy sławnymi Niemcami. Praca dopiero co wzmiankowana jest wyciągiem treściwym oryginału polskiego, ogłoszonego poprzednio w Warszawie i Poznaniu. Inna znowu rozprawa Adryana Krzyżanowskiego nosi tytuł: „*Mikołaja Kopernika założyciela dzisiejszej astronomii, w trzydziestu lat od jego skonu i objawienia układu spomnienie jubileuszowe, w Warszawie, 1844*“. W tymże samym roku wyszło obszerne dzieło tegoż autora: „*Dawna Polska ze stanowiska jej udziału w dziejach postępującej ludzkości, skreślona w jubileuszowym Mikołaja Kopernika roku 1843*“. Warszawa 1844.

W języku angielskim ogłoszoną została w Londynie w roku 1844 praca: „*Copernicus and his native land*“. Autorem jej jest Krystyn Lach-Szyrma. Czyniński Jan napisał po francusku: „*Kopernik et ses travaux*“. Paris 1846.

W Krakowie wyszedł: „*Żyćcie Mikołaja Kopernika gwiazdździarza*“, w roku 1853, napisany przez J. Radwańskiego.

W Warszawskim wydaniu dzieł Kopernika, z roku 1854, znajduje się życiorys genialnego astronoma, skreślony przez Juljana Bartoszewicza.

Dominek Szule napisał: „*Życie Mikołaja Kopernika, szkice biograficzne*“. Warszawa 1855.

Chłędowski Kazimierz drukował we Lwowie roku 1866 rozprawę pod tytułem: „*Mikołaj Kopernik, szkice biograficzne*“.

Wreszcie w Poznaniu w roku 1870, wydano broszurkę pod napisem: „*Słów kilka w sprawie uczczenia Mikołaja Kopernika*“.

Spis powyżej wyszczególnionych dzieł, broszur i rozpraw znajduje się w dziele pod tytułem: *Beitraege zur Beantwortung der Frage nach der Nationalität des Nicolaus Copernicus von R. . . Breslau 1872*. Ow przyczynę do odpowiedzi na pytanie jakiej narodowości był Mikołaj Kopernik, jest, jak nam to dobrze wiadomo, utworem młodego a bardzo zdolnego ziomka naszego pana K. R. . . a. Autor położył na czele swej gruntownej, sumiennej i prawdziwie wyczerpującej dany przedmiot pracy, dewizę: „*Sum cuique*“; wiernym też jej pozostał do ostatniej kartki. Dziełko swoje podzielił na następujące trzy działy, z których każdy mógł by stanowić nader cenną monografię historyczną:

1. Kraj i Miasto w którym Kopernik się urodził.
2. Nazwisko i pochodzenie tak Kopernika jak i jego rodziców.
3. Wystąpienia osobiste Kopernika, sposób myślenia i działalność jego na polu politycznym.

Oto wnioski wypływające z rozważania trzech powyższych tytułów.

Mikołaj Kopernik, urodzony w kraju polskim, w mieście jednak przeważnie przez Niemców zamieszkałym, miał ojca rodowitego wprawdzie polaka, któremu przecież nieobce

były zwyczaje i obyczaje niemieckie. Niesprawiedliwością więc jest narzucać mu po śmierci narodowość niemiecką, do której on sam za życia nigdy się nie przyznawał. W odwołaniu wszakże autor nadmieniam, że i niektórzy pisarze niemieccy wyrazili się zgodnie z prawdą o narodowości Kopernika. Tak naprzykład Wachler w dziele: *Handbuch der Geschichte der Literatur, Frankfurt a M. 1824* w tomie IV, na stronnicy 207 powiada. „*Z pomiędzy wszystkich narodów, Polacy mają wszelkie prawo być dumnymi ze swojego Mikołaja Kopernika z Torunia*“. Toż samo przyznaje L. Feuerbach w artykule: „*Die Naturwissenschaft und die Revolution*“, pomieszczonym w czasopiśmie: „*Blätter für literarische Unterhaltung*“. Nr. 269, z dnia 9 Listopada, 1850 roku.

O dziełku Flammariona wspomnieliśmy już w Grudniowym numerze naszego pisma. Obecnie dodamy, iż takowe zostało przełożone na język polski przez p. Sulimierskiego, redaktora „*Wędrowca*“.

Nakładem czasopisma „*Przyroda i Przemysł*“ wydanem zostało celem uczczenia 400-letniego jubileuszu urodzin Kopernika dziełko pana Kowalczyka, starszego Adjunkta Obserwatorium Astronomicznego w Warszawie, pod tytułem: „*Mikołaj Kopernik i jego układ świata*“. Autor podzielił pracę swoją na trzy części, a mianowicie podaje w niej: 1) Krótki życiorys Kopernika, 2) Streszczenie jego dzieła „*o obrotach ciał niebieskich*“, wreszcie 3) stanowisko Kopernika w astronomii. Zreszta prasa peryodyczna Warszawska uczciła ten dzień pamiętny w kronice naszego grudnia, bądź dodatkami nadzwyczajnymi w postaci treściwych broszur opowiadających życiorys wielkiego ziomka naszego, jak to uczynił Kuryjer Codzienny, który obdarzył czytelników swoich oryginalną rozprawą p. H. Skimborowicza, ozdobioną drzeworytami, bądź też pomieściły odpowiednie chwili artykuły. Oba zaś pisma illustrowałe nasze, cały numer wydawnictw swoich, najbliższy dnia obchodu, zapewniły artykułami i ilustracjami odnoszącymi się li tylko do Kopernika. Jubileuszowy numer Kłósów, wydany już we wtorek, w wigilię uroczystości, odznacza się poezjami Odyńca i Deotymy, oraz wspaniałym drzeworytem rysunku Andriollego, a przedstawiającym Kopernika pomiędzy najznakomitszymi astronomami różnych wieków.

Na zakończenie winniśmy dodać, że Kopernik bawił się także poezją. Z poematu jego „*Septem Sidera*“ pierwszy fragment znany jest w przekładzie polskim Ignacego Badeniego:

### GWIAZDA I-sza.

#### O Chrystusie obiecany przez proroków.

Pragniecie widzieć Władę, Pana tego świata,  
Którego Wam przybycie nieba obiecały?  
Który siebie z ludzkością, ludzi z ludźmi zbrata?  
I w swem królestwie pokój im zapewni stały.  
Poczekajcie! niedługo On Święty się zjawi  
Nie będzie On tak twardym jak na Paros głazy.  
Owszem Boską potęgą całą ludzkość zbwi,  
Chętnie prosby wysłucha, przebaczy urazy,  
Lecz wielkie ducha swego odkłada zamiary,  
Aby z większym pragnieniem był oczekiwany,  
By na gorętsze serca składano ofiary,  
Kiedy na świat wyrzuci wielkie światła zmiany.  
Gdy więc przybędzie Pasterz, którego świat czeka,  
Zaraz i kozy strojne w bogate wymionia,  
Dostarczą najczystsze i zdrowe mleka,  
I z siebie dobrych rodów wydadzą nasiona.  
Nie rzuci się na owcę wilk łupu spragniony,  
Dziki lew z żywej paszy bydłką nie zgoni.  
Tu rosnać będą same cukry, cynamony,  
I te kwieciste wieńce drzew cudownej woni.  
Bujne niwy wydadzą bogate pastwiska;  
Pasterz owce paść będzie na tej tłustej roli,  
A tam, gdzie jedno czyste z nieba źródło tryska,  
Tysiącami spragnionych napoi do woli.  
O ty źródło czystszej nad szkło przezroczyście,  
Co płyniesz bez początku zawsze, wszędzie czyste,  
Przypływaj nam nareszcie, dokończ twego cudu,  
Ugaś pragnienie ciebie spragnionego ludu.

### Od Redakcyi.

Panu Leonardowi S. . . w Oszarnicy. *Ołtarzyk Codzienny* i dawne lata wysłane.

Pani Zofii F. w Odessie. *Pani A. M. w Kamieńcu-Podolskim*. Dawne lata wysłane.

Pani Wiktorii Kl. w Żytomierzu. Na rachunek prenumeraty otrzymaliśmy dwa ruble. N-ra zaległe wysłane.

Pani I. . . . . w Kamieńcu-Podolskim. Prenumerata dla P. Erazma R. . . . . opłacona na 6 kwartałów, poczynając od 1-go Stycznia 1873 r. Co do dzieła o które Pani zapytuje, najstosowniejsze, zdaniem naszym, byłoby: „*Morawskiego*“.